

Part Code
ST1316

R

G

B

WH

GR

BL

Grey Scale #13

C

M

Y

K

DANES
PICTA
COM

A

1

2

3

4

5

6

M

8

9

10

11

12

13

14

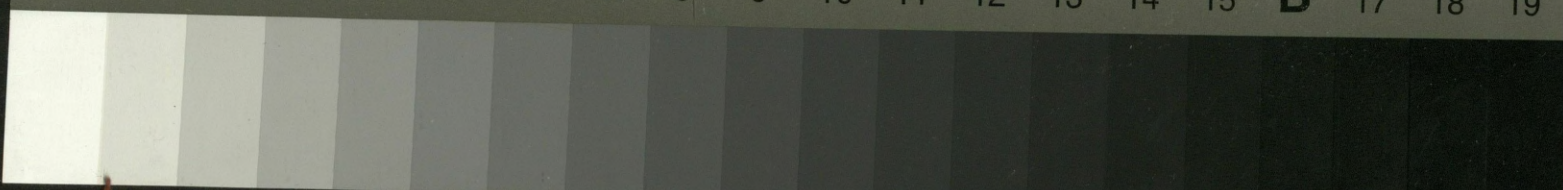
15

B

17

18

19



Inches
Centimetres

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Colour Chart #13

Blue

Cyan

Green

Yellow

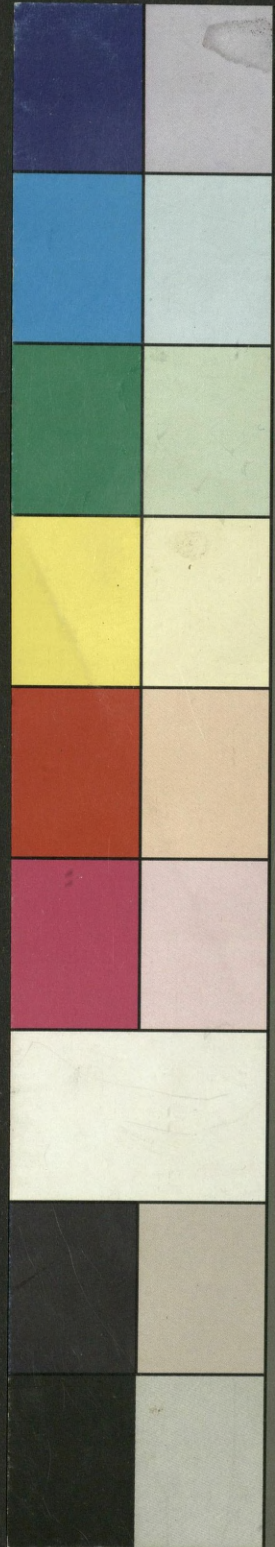
Red

Magenta

White

3/Color

Black



DANES
PICTA
COM



e. Lawrence
S t e r n a.

PODRÓŻ UCZUCIOWA

PRZEZ

FRANCYĘ I WŁOCHY.

PRZEKŁAD W. NOAKOWSKIEGO.

ILLUSTRACYA BERTALLA.

Z dodaniem Aryi: „Wiem że kochasz mnie” Muzyka Meyerbeera,

z towarzyszeniem fortepianu i tekstem J. Chęcińskiego.

Cena kop. 45.



WARSZAWA.

Nakładem **S. H. MERZBACHA** Księgarza.

1853.

820-318A/21

1910

BOOKS DEPARTMENT

THOMAS H. WOOD

THE HISTORY OF THE UNITED STATES
BY CHARLES A. BEAMAN
VOLUME I
NEW YORK
1910

3371/3



PODRÓŻ UCZUCIOWA.

„Pod tym względem we Francji jest lepiej, powiedziałem.”

— Czyś pan był we Francji? zapytał ten z którym rozmawiałem; a zapytaniu jego pełnemu uprzejmości, towarzyszył uśmiech zwycięstwa.

Rzecz godna podziwienia, pomyślałem w duszy, że podróż dwudziesto milowa, *Calais* bowiem od *Dowru* nie jest dalej położone, takie prawo stanowić może. Przedmiot ten bliżej poznać wypada.

Postanowienie w tej chwili uczynione, położyło koniec naszej rozmowie. Powróciłem zaraz do domu; a włożywszy do tłumoczek pół tuzina koszul, parę spodni jedwabnych, sukni którą mam na sobie, rzekłem, spoglądając na rękawy, jeszcze ujdzie. Wsiadłem do karety pocztowej i przybyłem do *Dowru*, gdzie mi powiedziano, że statek morski nazajutrz o godzinie dziesiątej z rana odpływa. Wsiadłem na niego, a o godzinie trzeciej po południu, jadłem już potrawkę z kurczęciami we Francji, co było rzeczą tak niezaprzeczoną, że gdybym tej nocy zakończył był życie z niestrawności, nikt nie byłby w stanie zabez-

pieczyć mnie od skutków prawa *d'aubaine*¹⁾, i moje koszule, moje czarne jedwabne spodnie, mój tłumoczek i wszystko co do mnie należało, przeszłoby na własność króla Francji; nie pozostawiliby nawet na mojej szyi tego portreciku małego, z którym się nigdy nie rozłączam, i który jak ci nieraz mawiałem *Elizo*, z sobą pragnąłem unieść do grobu.

Zaprawdę, nie jest to bardzo szlachetnie z twojej strony królu, zabierać spuściznę po cudzoziemcu podróżującym, którego poddani twoi grzecznością i uprzejmością swoją zwabili. Królu, postępek ten nie piękny. To nie przystoi na monarchę tak wspaniałomyślnego, na władcę narodu, słynnego z pięknych cnót swoich. I przykró mi bardzo te słowa prawdy ci powiedzieć, właśnie w tej chwili, gdy noga moja dotknęła ziemi francuzkiej.

¹⁾ *Droit d'aubaine*, prawo pośmiertne, nadające królowi możność zabrania spadku po każdym cudzoziemcu, po chwilowym pobycie zmarłym w jego państwie.

CALAIS.

Z apetytem zjadłem obiad, wypilem parę kielichów za zdrowie króla Francji, aby się pogodzić z sumieniem, i dowieść, że się na niego wcale nie gniewam, i owszem, cześć oddaję jego ludzkości i łagodności; nareszcie wstałem od stołu, czując się o pół cala prawie wyższym, skutkiem nastąpnego pojednania.

„Nie... pomyślałem sobie, ród Burbonów nie jest tak złym i okrutnym; mogą oni błędzić i zapominać się niekiedy, bo natura ludzka zawsze jest słaba, ale już w krwi ich jest pewna łagodność i umiarkowanie.

Tę im oddając sprawiedliwość, czułem jak krew szlacheńszcza do twarzy mi uderzyła, i rzewne współczucie dla rodu ludzkiego, wskrós mnie przejęło, jak to zwykle się dzieje, po wypiciu butelki wina burgundzkiego, lubo to, które zapijałem, było na dwa litry butelka.

O nieba! wykrzyknąłem, odtrącając nogą od siebie tłómczek, ileż powabów mieszcza w sobie bogactwa tego świata, że tak silnie podlegają żądze człowieka, i nie jednego z naszych braci osmielają do czynów zbrodniczych, czego tyloiczne mamy przykłady.

O ileż najcześniejszy pieniądz traci swą wagę w rękę człowieka żyjącego w zgodzie ze swymi współbraćmi. Sięga on do sakiewki, trzyma ją lekko przed sobą, nie ścisła jej chciwie i spogląda w około, jakby dla upatrzenia tego z kimby chciał się podzielić. Uczyniłem to, i uczułem jak wszystkie żyły w mojem ciele większych nabierały rozmiarów; wszystkie tętna duszy biły rokosznie, a wszystkie organy warunek życia stanowiące, swobodniej odbywały swoje funkcje, tak dalece, że i najpiersza kokiętką we Francji byłaby się zmieszała, i mimo cały swój materyalizm, nie wiem czy mogłaby nazwać mnie machiną.

„Aż nadto pewny jestem, rzekłem do siebie, że zmieniłbym jej wiarę.

Tą myślą przejęta dusza moja, wzniosła się w nadziejską sferę, wzniosła się tak wysoko, jak tylko mogła; przed chwilą bowiem, byłem w zgodzie z całą ludzkością, a teraz i z sobą samym.

O czemuż nie jestem królem Francji! zawołałem, jakaż to chwila pomyślna dla sieroty, któraby mnie prosiła o tłómczek ojcowski!

MNICH.

Zaledwem to wyrzekł, wchodzi do pokoju ubogi mnich z zakonu OO. Franciszkanów, prosząc o datek dla swego klasztoru. Nikt zapewne tego sobie nie życzy aby przypadek kierować miał jego cnotą; bo tym sposobem, nie jeden byłby wspaniałomyślnym, podobnie jak drugi jest wielmożnym, *sed non quo ad hanc*. Jakkolwiekby, nigdy z pewnością oznaczyć nie można zmian naszego chwilowego usposobienia umysłu; mogą na nie wpływać te same przyczyny, co na przyplływ i odpływ morza, i gdyby tak było, wymawiałoby to poniekąd zwyczajną nam niestałość. Co do mnie przynajmniej, wyznać muszę, iż więcej zczyłbym sobie nieraz, żeby mówiono że uległem wpływowi księżycy w rzeczach, których się wstydzę nie było czego, niż żeby coś miało uchodzić, za mój własny czyn i dzieło, w czém i jedno i drugie wspólny udział miało. Cokolwiekby, rzecz tak się miała. Skorom tylko ujrzał mnicha, zrobiłem zaraz mocne postanowienie nie dać mu ani grosza. Schowałem woreczek do kieszeni, którą starannie zapiałem, wyprostowałem się jak tylko mogłem najlepiej, i zrobiłem parę kroków do przybyłego. Coś odstrasżającego musiało się przebiejać

w mojem spojrzeniu, jak się domyślam; teraz jeszcze widzę jego twarz przed sobą, i zdaje mi się, że było w niej coś, co na lepsze przyjęcie zasługiwało.

Zakonnik, wnosząc z łysiej głowy, na której kilka tyłko promieni, rzadkich i siwych włosów około skroni pozostało, mógł mieć lat siedmdziesiąt; oczy jego jednakże w których ognie zdawał się iskrzyć, nie wydawały jak lat sześćdziesiąt. Najpodobniejszym do prawdy było, że miał lat sześćdziesiąt pięć, przynajmniej twarz cała to, pokazywała, chociaż zawczesnymi poorana zmarszczkami.

Była to jedna z owych głów, jakie nieraz wyszły z pod pędzla Gwido Reni; łagodna, blada, nie nosząca cechy niewiadomości, poduszczanej zarozumieniem; przenikliwe, jednak skromnie ku ziemi spuszczone oczy, zdawały się sięgać do innego świata. Jakim sposobem mnich z tego zakonu, mógł przyjść do takiej głowy? Bóg to sam najlepiej wiedzieć raczy, bo on ją na barkach jego umieścił. Lepiejby ona przystała Braminowi, i na równinach Indostanu, byłbym ją lepiej uszanował.

Słowem, cała jego postać w kilku rysach da się przedstawić; odmalować ją nie trudno, gdyż nie odkryłem w niej ani powabu ani odrazy, prócz tego, co jej charakter i dzielność wewnętrzna nadawała. Była to postać chuda, wzrostu więcej jak średniego, co wszakże nie tyle widocznym być się zdawało, bo była skurczoną i naprzód pochyloną w postawę proszącego; jak go sobie teraz wystawiam, to więcej przez to u mnie zyskała, jak utraciła.

Mnich znalazłszy się w mojem pokoju, postąpił trzy kroki, lewą rękę na piersi położył, a w prawej trzymał laseczkę cienką i białą, którą się podpierał. Gdy się zbliżył do niego, zaczął swoją zwykłą powieść o potrzebach klasztoru, o ubóstwie zakonu, a mówił to z takim przekonywającym zapałem, w jego oczach i całej postawie, coś tak tkliwego było, że prawdziwie musiałem wtenczas znajdować się, pod wpływem jakichcisi czarów, iż jego mowa żadnego wrażenia na mnie nie zrobiła.

Najwięcej jednak prawdopodobną przyczyną tego była ta, że sam sobie naprzód już mocno postanowił, nie dać mu ani jednego grosza.

MNICH.

Prawda, rzekłem w odpowiedzi na podniesienie oczu którym mowę swoją zakończył; to nie ulega żadnej wątpliwości, i oby Bóg zmiłował się nad tymi, którzy prócz ludzkiej pomocy, nie mają żadnej innej, chociaż zdaje mi się, nie jest ona tak skuteczną, ażeby mogła zaspokoić bezustanne naprzykrzania.

Na te słowa: „bezustanne naprzykrzania,” zakonnik spojrział na rękawy swego habitu. Uczułem całą wymowność tego dowodu.

Przyznaję, rzekłem, że gruba suknia, a co więcej jedyna tylko na lat trzy, i życie liche, nie wiele wymagają, a przykro pomyśleć o tém, że wasz zakon to, co w świecie zwykle tak małą pracą i zabiegami zarobić sobie można, pobiera z zapasów należących do chorych, ślepych, starców i chorych; więzień, który zamknięty siedzi, i dnie swoich męk i smutku liczy, ten sam chce mieć udział w jałmużnie. Gdybyś był cjeze należał, do zakonu Braci Miłosierdzia, zamiast do zakonu OO. Franciszkanów, jakkolwiek jestem ubogi, dodałem wskazując na tłómczek, z serca bym go otworzył aby przyjść w pomoc cierpiącej ludzkości.... Tu mnich się skłonił. Lecz przede wszystkim, mówiłem dalej, nieszczęśliwi moi współziomkowie, których tysiące zostawiłem w nędzy na mojej ziemi, bliższe mają prawo do uczuć miłosierdzia. Mnich pochylał głowę na znak potwierdzenia słów moich, że w każdym zakątku tego świata pełno jest nędzy, równie jak

i w jego klasztorze. My jednakże robimy różnicę, rzekłem, kładąc moją rękę na rękawie jego habitu, jako odpowiedź na jego dowód—robimy różnicę, mój dobry ojciec, między tymi, którzy tylko jeść chcą chleb, na który sami sobie zarobią, i tymi, którzy pożywać go chcą z cudzej pracy i żadnego innego celu nie widzą w tém życiu, nad próżniactwo i niewiadomość *dla miłości Boga*.

Biedny franciszkanin ust nawet nie otworzył, tylko rumieniec pokrył na chwilę jego lica; nie uczuł jednak urazy, lub jej przynajmniej nie okazał lecz opuścił laseczkę swoją na ramię, obie ręce z poddaniem się i uległością, na piersi założył i wyszedł z pokoju.

MNICH.

Zaledwie drzwi zamknął za sobą, uczułem wyrzut sumienia. Ba! rzekłem do siebie, powtarzając to trzy razy z niedbałą obojętnością, ale to jednakże nie przywróciło mi spokojności. Każdy wyraz niegrzeczny i przykry który wyrzekłem, stawał mi w pamięci. Pomyślałem sobie, że żadnego innego prawa nie mam do tego biednego franciszkana, jak tylko prośbie jego odmówić, i że już samo zawiedzenie w nadziejach, było przykrem dla niego bez dodania do tego ostrych wyrazów. Jego włos siwy stanął mi przed oczyma, i zdawało mi się widzieć jeszcze jego postać błagającą i zapytującą mnie, co mi tak złego uczynił, i z jakiej przyczyny tak się z nim obszedłem? Chętnie dalbym dwadzieścia liwrów, gdybym mógł był znaleźć obrońcę. Bardzo źle postąpiłem, pomyślałem sobie, ależ dopiero rozpocząłem moją podróż. Z czasem stanę się więc uprzejmym.

DESUBLIZANTKA CZYLI KARETA POJEDYNCZA.

Zauważyłem, że człowiek nie zadowolony z siebie, znajduje się w najprzyjaźniejszym usposobieniu umysłu, do robienia kupna. Do zamierzonej podróży po Francyi i Włoszech, potrzebowałem powozu. Poszedłem więc na podwórze i udałem się do składu powozów, w celu nabycia sobie jednego z nich lub najęcia. Stara desoblizantka, stojąca w najodleglejszym kącie wozowni, wpadła mi zaraz w oczy, i téżę chwili skoczyłem do niej, a uznawszy ją odpowiednią moim chęciom, rozkazałem służącemu, aby mi przywołał p. Dessein, właściciela tego domu gościnnego. Lecz p. Dessein właśnie pod tę porę był na nieszpiorach. Miałem już wyskoczyć, gdy w tém dostrzegam mnicha na drugim końcu podwórza, roznaviającego z pewną damą w téj chwili do oberży przybyłą. Nie chcąc aby mnie widział, spuściłem kitajkową zasłonę powozu, a mając zamiar opisać moją podróż, dobyłem kałamarza i pióra, i zająłem się napisaniem do niej przedmowy.

PRZEDMOWA W DESUBLIZANTCE.

Nie jeden już z starożytnych filozofów zrobił tę samą uwagę, że przyroda wierna swoim odwiecznym prawom, położyła pewne granice niezadowoleniu człowieka, i dopięła swojego celu w sposób najdogodniejszy i najprzyjaźniejszy, wkładając na niego obowiązek połączony z nieodbitą potrzebą używania w rodzinnem miejscu swoim, dobrego bytu, równie jak i znoszenia w niem wszelkich cierpień. Tu tylko, według jej woli znajduje osoby, najzdolniejsze do podzielania z nim jego szczęścia, lub ulżenia mu połowy tego ciężaru, który po wszystkie czasy i we wszystkich krajach, był zanadto wielkim na barki jednego. Mamy wprawdzie zdolność rozszerzenia czasami, tego szczęścia po za te granice, ale brak znajomości mowy, stosunków, pokrewieństwa i przyjaciół, ró-

wnie jak i różnica w oświacie, zwyczajach i obyczajach, są dla nas takimiż przeszkodami, do udzielenia naszych uczuć, po za obrębem rodzinnej ziemi, do tego stopnia, że nieraz to udzielenie się, zupełnie się staje niemożliwem. Ztąd wypływa, że równoważenie tego sentimentalnego handlu, zawsze wypadnie na szkodę tego, który się na obcej znajduje ziemi; musi bowiem rzeczy nie wielki użytek mu przynoszące, po drogiej kupować cenie; a jego obcowanie rzadko kiedy nad obcowanie ze swemi przez krajowców przeniesione bywa, dla tego téż często musi zmieniać towarzyszków rozmowy, nim znajdzie najwyrozumialszego; łatwo więc zgadnąć wszystkie jego cierpienia.

To mnie naprowadza do głównego zamiaru, i z kolei rzeczy, jeżeli tylko kołysanie karetki, dalej mi pisać pozwoli, wyliczę wszystkie przyczyny podróżowania.

Ludzie bez żadnego zatrudnienia, którzy rodzinną ziemię opuszczają i w obce udają się kraje, mają w tém swoje powody, które zawsze sprowadzić można do jednej z następujących głównych przyczyn:

Słabość ciała.

Niedołężność umysłu.

Nienchronna konieczność.

Do pierwszych dwóch przyczyn, można podciągnąć wszystkich tych podróżnych, których pycha, ciekawość, próżność lub ponury humor, pobudza do podróżowania; a tych się liczba różnie kombinuje i bez końca podziela.

Trzeci podział obejmuje w sobie, nieprzeliczony orszak podróżujących męczenników. Tak podróżują mnichy wszelkich zakonów, przestępcy, idący po karę za zbrodnie, lub młodzież szlachecka, zmuszona przez srogich rodziców lub opiekunów, włóczyć się z miejsca na miejsce, pod okiem nauczycieli zaleconych z oxfordskiego, aberdińskiego lub glasgowskiego, uniwersytetów.

Jest jeszcze czwarty oddział podróżnych, lecz liczba należących do niego jest tak mała, iż nie warto byłoby ich odróżniać, gdyby w takim dziele jak to, nie potrzeba było zachować jak największej dokładności i ścisłości, celem uniknięcia pomieszania i zamieszania tych cech rozmaitych. Ci ludzie o których mowa, przebywają morza, i bawią w obcych krajach, pod różnemi pozorami w celu oszczędzenia pieniędzy. Lecz że ci, wieleby i sobie i innym przykrości oszczędzić mogli, gdyby w domu pieniądze szędzić chcieli, a powody nakłaniające ich do podróży, mniej są powikłane, jak wszystkich innych, wydalających się z rodzinnego kraju, więc odróżnię ich nazwiskiem

Podróżnych zwyczajnych.

Tym więc sposobem, całe koło podróżnych da się podzielić na:

Podróżnych próżniaków,
Podróżnych ciekawych,
Podróżnych kłamców,
Podróżnych pysznych,
Podróżnych próżnych,
Podróżnych ponurych,

Po nich następują:

Podróżni z konieczności, mnichy,
Złoczyńca i winowajca skazany,
Podróżny niewinny i nieszczęśliwy,
Podróżny zwyczajny;

A w końcu jeśli się podoba,

Podróżny uczuciowy, za jakiego sam siebie uważam.

Tyle jeździłem po świecie już z konieczności, już to z musu, jak którykolwiek podróżny, do wymienionych podziałów kwalifikujący się.

Wiem dobrze, że moje podróże i spostrzeżenia, zupełnie będą różne od wszelkich innych moich poprzedników; dla

tęgo też, miałbym prawo żądać zupełnie oddzielnego dla siebie oddziału; ale usiłując zwrócić całą uwagę na siebie, byłoby to zamienić się na podróżnego *próżnego*; rzekam się więc tej pretensyi, dopóki do tego lepszych nie odszukam powodów, jak tylko nowość mego powozu *podróżnego*.

Czytelnik mój umieści siebie jak mu się podoba. Jeżeli kiedy jeździł po świecie, potrafił się bez trudności i namysłu umieścić w najprzyzwoitszym rzędzie; posłuży to mu nawet, do należytego poznania samego siebie. Założyłbym się jednak, że do tej jeszcze chwili pozostał w nim pewien odcień i podobieństwo do tego, czém był przed udaniem się w drogę.

Pierwszy, który przesadził szcep wina burgundzkiego na przykładu *Dobrej Nadziei*, chociaż był Holendrem, nie myślał wcale że pić będzie to samo wino na przykładu, jakie ten szcep wydaje na górach francuzkich. Zbyt do tego był powolnym aby to sobie obiecywał, ale niewątpliwie był pewnym, że będzie pił jakiś gatunek wina: zły, dobry lub średni; wiedział on, że to nie zależało od jego wyboru, i że to co przypadkiem zowie my, sprowadza skutek pomyślny lub niepomyślny. Tymczasem spodziewał się najpomyślniejszych rezultatów, a w tej nadziei, mógł był za wiele ufając mocnej głowie i swojej wstrzemięźliwości, stracić oboje w swojej winnicy, i odkryciem nagości, wystawić się na pośmiewisko.

Podobnie dzieć się zwykło z biednym podróżnym, który czy to okrętem, czy to pocztą, pośród najucywilizowańszych narodów ziemi podróżuje, w chęci nabycia wiadomości i wydoskonalenia.

Można ich wprawdzie nabyć, goniąc w tym celu po morzach i łądach. Ale czy te wiadomości będą użyteczne, a wydoskonalenie prawdziwe, to zależy bardzo od szczęścia, zupełnie tak jak wygrana na loteryi. Przypuściwszy nawet że się uda, trzeba z wielką ostrożnością i umiarkowaniem czerpać z nabytego zapasu, chcąc ażeby on jakąś korzyść mógł zapewnić. A że częstokroć tak w nabyciu jak i w użytkowaniu, los człowiekowi pada przeciwnie, uważam więc że ten bardzo chwalebny i rozsądny czyni, kto nie dając się powodować próżną ciekawością lub innymi pobudkami, żyje szczęśliwie, nie goniąc za granicę po wiadomości i wydoskonalenie, mianowicie w kraju w którym na niczém nie zbywa. Ież to razy już z bólem serca byłem naocznym świadkiem skwapliwości, z jaką niejednen z ciekawych podróżnych, uganiał się aby osobliwości widzieć i odkrycia czynić, któreby łatwo jak *Szanszo Pansa*, *Donkiszotowi* powiedział, „mógł był widzieć w domu”. Nasz wiek stanął na takim szczycie oświaty, że nie masz kraju lub zakątka w Europie, gdzieby się promienie światła nie krzyżowały, lub nie wymieniały z promieniami innych krajów; a wiadomości do wszelkich przedmiotów się odnoszące, są podobne do muzyki po ulicach miast włoskich, której urokiem i ci nasycić się mogą, którzy nic za to nie płacą.

Ale nie ma narodu pod słońcem, a Bóg przed którego tronem kiedyś stanę i zdać będę musiał sprawę z tego dzieła, jest moim świadkiem, że to mówię bez chępliwości; nie masz, powtarzam, narodu pod słońcem, któryby bardziej uprawiał rozmaite gałęzie nauk, gdzieby umiejętności troskliwiej pielęgnowane, i z większą łatwością nabyte być mogły, gdzieby sztuka doznawała więcej pobudek zachęcających i wyżej się posunęła, a naturę więcej zgłębiano, i wreszcie gdzieby umysł, więcej różnaitości charakterów zasilala.

— Gdzież więc idziecie kochani ziomkowie?

„Chcieliśmy tylko ten powóz obejrzyć”, odpowiedziano mi przez drzwiczki powozu.

— A, unniżony sługa, — rzekłem, wyskakując z powozu z kapeluszem w rękę.

— Ciekawi byliśmy wiedzieć, odezwał się jeden z obecnych, który jak się przekonałem, należał do oddziału *ciekawych podróżnych*, dla czego się ten powóz ruszał.

— Skutkiem poruszeń człowieka, — odpowiedziałem zimno, który pisał przedmowę.

— Nigdy jeszcze nie słyszałem, — rzekł drugi, będący *zwyczajnym* podróżnym, aby kto kiedy przedmowę pisał w desoblizantce.

— Lepiej by ta i żywił, odrzekłem, w jakim *vis-à-vis*¹⁾ pisaną była.

A że Anglik nigdy nie podróżuje, aby widzieć Anglików, udałem się więc do mego pokoju.

Idąc długim korytarzem do siebie, spostrzegłem, że go jeszcze coś innego zaciemnia, prócz mego własnego cienia: był to rzeczywiście p. Dessein, właściciel gospody, który powróciwszy właśnie z niesporów szedł za mną z kapeluszem pod pachą, chcąc mi grzecznie przypomnieć żem go potrzebował. Przy pisaniu przedmowy, straciłem wszelką do desoblizantki ochotę, a że p. Dessein poruszeniem ramion dał poznać, że nie była dla mnie przydatną, pomyślałem sobie zaraz, że musiała być własnością jakiego prostaczka podróżnego, który w powrocie do domu zostawił ją p. Dessein, z zaleceniem sprzedania jej za jakąkolwiek cenę. Od czterech miesięcy po objechaniu Europy, stała w kącie podwórza pana Dessein; zkąd nawet zrazu ruszyć nie mogła, bez poprzedniej naprawy; potem w przebyciu przez górę Cenis po dwakroć się złamała. Nieulepszyły jej te przygody, a témbardziej stanie pod gołym niebem przez cztery miesiące w kącie podwórza pana Dessein, nie wiele jej pomogło. Istotnie nie była ona wiele warta, ale zawsze cośkolwiek, a nie mogę znieść człowieka skąpiącego słów kilka, jeżeli niemi nędzy i nieszczęściu ulżyć może.

— Gdybym był na pańskim miejscu, rzekłem — opierając palec na piersiach p. Dessein, tobym usilnie starał się pozbyć tej biednej karetki, która zawałając napróżno miejsce, za każdym razem kiedy koło niej przechodzisz ciężkie wyrzuty ci robi.

— Mój Boże! rzekł p. Dessein, — nie mam w tém żadnego interesu.

— Wyjąwszy ten, odpowiedziałem — jaki ludzi z pewnym usposobieniem umysłu, mój panie Dessein, przywiązuje do własnych uczuć. Zdaje mi się że panu, jako człowiekowi będącemu dla drugich z tém samém uczuciem co i dla siebie, o daremnie pan się chcesz z tém tać, każda noc dżdżysta wielu przykrości i niespokojności staje się przyczyną. Cierpij mój panie Dessein sam tyle, co ten powóz.

Uważałem zawsze że jeżeli Anglik usłyszy jaki słodko-kwaskowaty komplement, waha się, czy się ma urazić o niego lub nie; Francuz nigdy nie znajduje się w takim kłopotcie. Na poprzedzające więc słowa, p. Dessein tylko uklonem mi odpowiedział, po czém dodał:

— To wielka prawda, ale w tym razie zamieniłbym niespokojność i to jeszcze ze stratą. Wystaw sobie drogi panie gdybym ci sprzedał powóz, któryby się w połowie drogi potrzaskał; wystaw sobie proszę, jakby to mi było przykro, dając o sobie tak niekorzystne wyobrażenie człowiekowi z honorem i narażając się *człowiekowi z do-wcipem*.

Pigułka była dokładnie, według własnego mego przepisu przyrządzoną, trzeba było koniecznie ją połknąć;

¹⁾ *Vis-à-vis*, nazywa się pewien rodzaj małego powozu, o dwóch siedzeniach, naprzeciw siebie urządzonych.

odkiloniłem się więc nawzajem p. Dessein, i zaprzestawszy dowcipnych przycinków, udaliśmy się razem do wozowni, w zamiarze obejrzenia innych powozów.

NA ULICY.

Nasz świat musi być bardzo złym światem, kiedy nabywca chociażby najlichszego przedmiotu, np. mizernego powozu, nie może wyjść z sprzedającym na ulicę w celu umówienia się o cenę, aby nie wpaść zaraz w to usposobienie umysłu, i tak nieprzyjawnym okiem spoglądać na swego przeciwnika, jak gdyby szedł z nim do *Hyde-Park*, w celu zakończenia sprzeczki pojedynkiem. Ja nie mogę poszczycić się zręcznością w robieniu bronią, nie mogłem więc mierzyć się z p. Dessein. Czułem jednakże, jak kolejno ulegałem tym wzruszeniom, które w podobnych razach rodzić się zwykły. Utkwiłem bystry wzrok w pana Dessein, jak gdybym chciał przeniknąć najszybsze tajniki jego serca; przypatrywałem mu się z boku, gdy szedł obok mnie; patrzyłem mu prosto w oczy, zdawało mi się, że podobny był to do żyda, to do turka; to znów jego peruka mi się nie podobała, przeklinałem go na czem świat stoi i posyłałem go do wszystkich djabłów.

Czyż serce powinno dać się powodować takimi drobnostkami? Cóż są nędzne trzy lub cztery luidory, o które najwięcejby mnie mógł oszukać? Podła namiętność! rzekłem sam do siebie, odwracając się, jak to zwykliśmy czynić, kiedy nagle następuje zmiana w uczuciach naszych. Podła, niecna namiętność!... wydajesz bój całej ludzkości, a cała ludzkość na ciebie powstaje...

— Niech mnie Bóg od niej strzeże, zawołał ktoś w tej chwili, a obróciwszy się, ujrzałem tę panią, zasłaniającą twarz ręką, którą widziałem rozmawiającą z zakonnikiem, a która niespostrzeżona, postępowała za nami. — Prawdziwie, niech Bóg panią strzeże! — odrzekłem podając jej rękę.

Miała czarne jedwabne mitynki. Uprzejmie przyjęła podaną sobie rękę i zaprowadziłem ją do wrót wozowni.

Pan Dessein tymczasem, pięćdziesiąt może razy przeklął klucz, nim spostrzegł że był niewłaściwy. My z równą niecierpliwością oczekiwaliśmy na otwarcie drzwi, i zarazem byliśmy tak uważni na zawadę, że zatrzymałem w mojej rękę nieznaną damę, nie wiedząc wcale o tém że nas pan Dessein zostawił razem, ręka w ręce i ku drzwiom wozowni zwróconych, przyrzekając w pięć minut powrócić.

Rozmowa pięciu minut między czterema oczyma, w położeniu naszym więcej miała uroku i wartości, niż rozmowa pięciu wieków, z twarzą na ulicę zwróconą; w ostatnim bowiem razie rozmowa zwraca się na coraz zmieniające się przedmioty; gdy przeciwnie, mając oczy w jeden punkt utkwione, źródło rozmowy znajduje się w nas samych i z niego czerpać nie zaniedbujemy. Czułem ważność naszego położenia. Jedna chwila milczenia zmieniłaby postać rzeczy... Nieznajoma dama, niezawodnie byłaby się obejrzała; wszcząłem przeto natychmiast rozmowę.

Nie chcąc nigdy robić tajemnicy z słabości mego serca, ale przeciwnie pragnąc je światu objawić, opiszę wam uczucia które mną miotaly, z tą samą prostotą i szczerością, z jaką ich natenczas doznawałem.

BRAMA WOZOWNI.

Nie pominąłem się wcale z prawdą mówiąc dla czego nie chciałem wysiąść z desoblizantki; tym powodem jak wiadomo, była chęć uniknięcia widoku zakonnika rozma-

wiającego z damą niedawno przybyłą do gospody. Tak, jest to prawda, ale jeszcze nie zupełna; bo do pozostania w powozie, skłoniła mnie także obecność tej pani. Konieczność mi się zdawało, że opowiadał jej o tém, co między nim a mną zaszło, i że nie szczędził pochwał, na jakie zasłużyłem. Doznałem przykrego wrażenia i nie wiem co bym był dał za to, żeby mnich był sobie już był wkłasztorze.

Jeżeli serce uprzedzi rozum, wiele bardzo oszczędza rozsądkowi przykrości. Byłem tego przekonania, że nieznaną damą należy do rzędu najpoważniejszych istot. Jednakże przestałem myśleć o niej, i pisałem dalej moją przedmowę.

Wrażenie jakiego doznałem na widok jej osoby, ponowiło się skorom ją tylko spotkał na ulicy. Ta obowiązująca ufność z jaką podała mi rękę, pomyślałem sobie, była dowodem jej ukształcenia i rozsądku. Prowadząc ją, czułem jakąś niewymowną słodycz, nieznaną rozkosz, przejmującą całą moją istotność.

Mój Boże, rzekłem do siebie, jakżeż chętnieby człowiek, z taką jak ta istotą, chciał w koło cały świat objechać.

Jej twarzy jeszcze dotąd nie widział... lecz cóż to mnie obchodziło? Moja wyobraźnia utworzyła sobie natychmiast jej obraz, i wprzód już, nim do bramy wozowni doszliśmy, głowę wykończoną z taką dumą, na korpus swojej bogini wsadziła, jak gdyby z Tybru była wodobyta. O wyobraźni! jakże ty jesteś zwodniczą; a chociaż nas nie jeden raz na dzień, zwodzisz swemi obrazami, czynisz to jednak z takim urokiem i utwory twoje tak pełne wdzięków, tak świetnymi błyszczą farbami, że nigdy się gniewać na ciebie nie można.

Znalazłszy się przy samej bramie wozowni, nieznaną opuściła rękę z czoła i dała mi przez to się widzieć. Twarz okazywała blisko 25 lat wieku; cerę miała czerstwą jasno-śniadawą, bez różu i pudru. Nie byłato piękność klasyczna, ale było w niej coś takiego, co mnie utwierdziło w tém usposobieniu umysłu, w jakim podówczas zostałem; wdzięk jej postaci pociągał mnie więcej niż piękność; nadewszystko była powabną. Zdawała mi się być wdową, która przetrwała pierwsze wrażenia żałości i która zaczęła się oswajać ze swoją stratą; lecz wiele innych powodów smutku mogło też same ślady wyryc na jej twarzy. Pragnąłem poznać te powody, i w tym celu miałem rozpocząć swoje badania, i gdyby ta sama wolność jaka panowała w rozmowach za czasów Ezdrasza, była i teraz w użyciu, byłbym zapytał: *Cóż ci to? dla czego jesteś tak smutną? Co jest powodem twoich cierpień? skąd pochodzi ta boleść, napętniająca duszę twoją?*

Słowem, uczułem dla niej wielkie współczucie, i postanowiłem jakimkolwiek bądź sposobem, dać jej to poznać, a w końcu nawet ofiarować moje usługi.

Takieto były moje uczucia i zostawałem właśnie w tém usposobieniu umysłu, iż chciałem dać się niemi powodować, kiedy znalazłem się z nią sam na sam, ręka w rękę, obrócony ku wozowni, i z twarzą więcej do bramy przybliżoną, niż tego konieczna potrzeba wymagała.

BRAMA WOZOWNI.

— Prawdziwie, piękna pani, przemówiłem — unosząc zlekka jej rączkę, — otóż jedno z owych dziwnych wydarzeń losu, że dwie zupełnie nieznane sobie osoby, różnej płci, z przeciwnych może końców świata, za ręce prawie ku sobie sprowadził w tak poufne położenie, jakby tego najściślejsza przyjaźń, od miesiąca już zawarta, dokazać nie mogła.

— A uwaga pańska najlepszym jest dowodem, w jak wielkie pomieszanie, wprawiło go to zdarzenie.

Jeżeli znajdujemy się w takim położeniu, jakiego sobie sami życzymy, nic nie może być pożądanym nad wskazanie tych okoliczności, które to przyjazne położenie wywołały.

— Dziękujesz pan losowi, — dodała — i bardzo słusznie. Serce dawno już to odgadło, i było rade temu. Ale tylko filozof angielski może o tym ostrzedz rozum, dla przywołania rozsądku. A powiedziawszy to usunęła mi rękę, do czego łączyło się takie spojrzenie, że jej wyrazy łatwo pojąć mogłem.

Nienajlepszy obraz słabości mego serca dam czytelnikowi wyznając, że uczuło boleść, jakaby nawet ważniejsze pobudki zrodzić w niem nie mogły. Utrata jej ręki zadała mi cios dotkliwy, a sposób w jaki pozbawiony jej zostałem, nie wlał balsamu na moją ranę. Po raz pierwszy w życiu, uczułem żywiej przykrość, z niezgrabnej głupoty pochodząca.

Lecz zwycięztwa serca prawdziwie kobiecego, po takiej walce, są krótko trwałe. Dla tego też po kilku chwilach, zmieniła się scena: nieznajoma oparła swoją rękę na moim ramieniu, aby swoją odpowiedź dokończyć, tak, że nie wiem jakim sposobem, znowu w tym samym jak na początku ujrzelśmy się położeniu.

Czekałem co dalej powie... lecz milczała. Ja tymczasem starałem się zwrócić rozmowę na inny przedmiot, bo z kilku słów nieznajomej zawierających nauczki połączonej z dowcipem, poznałem, że nie bardzo w sądzie co do jej charakteru pomylił. Gdy jednak twarz swoją zwróciła ku mnie, dostrzegłem, że zapal ożywiający ją przed chwilą gdy do mnie mówiła, już znikł zupełnie; na twarzy malował się wyraz obojętności, połączony z uczuciem cierpienia, które mnie zrazu tak bardzo zajęło. Przykre robi wrażenie nagła zmiana żywości ducha na boleść. Zal ścisnął mi serce, i chociaż to co powiem, śmiesznym się może wyda nieczulemu sercu, uczułem dla niej tak wielką litość, iż w tej chwili byłbym ją uściskał i ucałował bez zarumienienia, lubo scena ta miała miejsce na ulicy.

Przyspieszone bicie pulsów w mych palcach i uczucie z jakim ścisnąłem rękę nieznajomej, dostatecznym było dla niej aby mogła pojąć, co się we mnie działo... Spuściła oczy na dół... i chwila nastąpiła milczenia.

Obawiam się czy podczas tej przerwy nie uczyniłem jakiego usiłowania, ścisnienia mocniej jej ręki, bo coś w mojej dłoni uczułem, nie jak gdyby swoją rękę wyrwać chciała, ale jak gdyby o tym zamyślała, i niewątpliwie byłbym ją utracił, gdyby mnie nie tak rozum, jak raczej instynkt, ostatniego w tym razie nie podał ratunku: trzymać ją tak lekko, jak gdyby ją sam był chciał, każdej chwili puścić dobrowolnie. Środek ten okazał się skutecznym: nieznajoma pozostawiła swoją rękę w mojej, aż do powrotu p. Dessein z właściwym kluczem. Tymczasem zastanowiłem się nad tym, jakim sposobem zatrzeć w jej duszy to niekorzystne pojęcie, jakie o mnie powziąć mogła z rozmowy z mnichem, jeżeli ten rzeczywiście opowiedział jej przykre obejście, jakiego z mej strony był doznał.

TABAKIERKA.

Dobry starzec stał o sześć kroków od nas, kiedy pomyślałem sobie o nim, i zbliżał się nieśmiały krokiem nie wiedząc czy ma przemówić lub nie. Zbliżył się wreszcie do nas i z uprzejmością podał mi swoją rogową tabakierkę, którą trzymał w ręku.

— Zążyjesz ojcie z mojej, rzekłem wyjmując z kieszeni małą sztyldkretową tabakierkę, i podając mu ją.

— Wyborna, — odpowiedział zakonnik.

— Uczyni mi więc mój ojcie tę przyjemność, odezwałem się, i chciai zatrzymać dla siebie i tabakę i tabakierkę, a ile razy z niej zążywać będziesz, wspomnij czasem, że ona jest upominkiem pojednania człowieka, który cię nienajgrzeczniej przyjął, chociaż to bynajmniej nie z złego serca pochodziło.

Biedny zakonnik zaczerwienił się jak szkarłat.

— Mój Boże! rzecze składając na krzyż ręce, — nigdyś pan dla mnie nie okazał się nieprzyjaznym.

— O! i mnie się zdaje, zawołała dama, — że pan wcale nie jesteś do tego zdolnym.

Teraz i ja pokryłem się rumieńcem; lecz jakaż tego była przyczyna? niech zgadną ci, co mają czucie.

— Ó nie, pani, rzekłem, — obszedłem się z nim surowo, chociaż najmniejszego nie dał mi do tego powodu.

— To niepodobna! — odparła dama.

— Miły Boże! zawołał mnich z niezwykłą sobie żywością, — powodem do tego, stała się moja zbyteczna gorliwość.

Temu nieznajoma nie chciała dać wiary, a ja popierałem jej zdanie, że niepodobna aby człowiek tak jak on łagodny, mógł kogoś obrazić.

Nie wiedziałem do tej chwili, że podobna sprzeczka może sprawić na naszych nerwach tak miłe uczucie. Nastąpiło milczenie podczas którego nie doświadczyliśmy wcale tego przykrego i śmiesznego uczucia, które się zwykle w nas rodzi, jeżeli znajdujemy się w takim towarzystwie, gdzie jedno na drugie spogląda i dziesięć minut czeka nim ktoś słowo przebaknie. Podczas tej przerwy mnich potarł rogową tabakierkę o rękaw habitu, a gdy ta przez potarcie nabrała połysku, skłonił mi się nisko i rzekł: że jakkolwiek teraz pojąć tego nie może czy to słabość lub dobroć naszego serca wywołała spór pomiędzy nami, jednak cokolwiek jest tego przyczyną, prosi mnie, abyśmy się na nasze tabakierki pomieniali. To mówiąc, podał mi swoją takierkę, a otrzymaną odemnie, złożwszy na niej pocałunek, schował w zanadrze, i z oczami pełnymi łez rozczulenia oddalił się od nas.

Tabakierkę tę chowam z największym poszanowaniem, jakby skarb najdroższy; ona serce moje na drodze do dobrego wspiera, ona unyśł mój wznosi nad ziemskie rzeczy; nigdy z nią się nie rozłączam. Nieraz już przypomniała mi ona łagodność i umiarkowanie pierwszego jej posiadacza, którego usiłuję brać za wzór w zabiegach i kłopotach tego świata. Te kłopoty i przykrości świata dręczyły go nieustannie, jak mi o tym później powiadano do lat czterdziestu pięciu; w którym to czasie, tak ze względu, że jego wojskowe zasługi bez należytego wynagrodzenia pozostały, jak niemniej, że w najśłodszej ze wszystkich uczuć doznał bolesnego zawodu, wyrzekł się na zawsze służby i kobiet i zakopał się nie tak w klasztorze, jak w sobie samym.

Zal ścisną mi serce gdy muszę dodać, że w powrocie moim przez Calais, na zapytanie, co się dzieje z ojcem Warzyńcem, odpowiedziano mi, że zakończył to życie doczesne przed trzema miesiącami, i że pochowanym został stosownie do swego życzenia, na cmentarzu o pół mili odległym od miasta, należącym do klasztoru. Uczułem w sobie nieprzewidywaną chęć zwiedzenia miejsca jego wiecznego spoczynku. Usiadłem przy jego grobie, wyjąłem z kieszeni jego małą tabakierkę, wyrwałem z jego grobu kilka pokrzyw niepotrzebnie tam rosnących, a wszystko to tak rzewnym przejęło mnie uczuciem, że łzami zrosiłem jego mogiłę. Lecz jestem tkliwy jak niewia-

sta, proszę cię więc czytelniku nie śmieję się ze mnie, raczej lituj się nademną.

BRAMA WOZOWNI.

Przez cały ten czas, który przepędziliśmy stojąc przed bramą, nie wypuściłem ani na chwilę ręki nieznajomiej; a uważając, że byłoby to wielką z mojej strony niegrzecznością rozłączyć się z nią, nie złożywszy wprzód na niej serdecznego pocałunku, przybliżyłem ją do moich ust rozpalonych, skutkiem czego wszystka krew i życie przed chwilą spędzone z jej oblicza, znowu na swoje miejsce powróciły.

W tój to właśnie stanowczej chwili, dwaj podróżni, którzy niedawno na podwórzu ze mną rozmawiali, przeszli koło nas, a widząc naszą poufną zażyłość, niezawodnie wzięli nas za małżeństwo. To właśnie było powodem, że jeden z nich *ciekawym* podróżnym, zbliżywszy się do drzwi wozowni, zrobił zapytanie, czy nie zamierzamy nazajutrz jechać do Paryża?

— Ja tylko za siebie odpowiedzieć mogę, odrzekłem. Moja towarzyszka oświadczyła, że jedzie do Amiens.

— Wczoraj tam właśnie jedliśmy obiad, — odezwał się drugi, zwyczajny podróżny.

— Pojedźcie tamtędy do Paryża; — dodał pierwszy.

Chciałem mu podziękować za tę wiadomość, lecz dobywszy małej rogowej tabakierki, mojego poczciwego mnicha chcąc się tabaczką nieco orzeźwić, skłoniłem się grzecznie, nie zaniedbując złożyć im życzenia szczęśliwego przybycia do Douwru; i znowu pozostaliśmy sami.

Nie widzę w tём nic złego, pomyślałem sobie, gdybym tój osobie, pod ciężarem smutku upadającej, ofiarował miejsce w moim powozie. Przecież żadne wielkie nieszczęście ztąd nie wyniknie.

Ta myśl poruszyła we mnie wszystkie nikczemne namiętności. Krok ten, odezwało się *skąpstwo*, narazi cię na większe koszta jakie pociągnię za sobą konieczność najęcia trzeciego konia, dwadzieścia franków więcej wypłoszy ci z kieszeni. Nie jesteś pewny tój osoby, przydała *podejrzliwość*; lub jakiego kłopotu nabawić cię może, dokończyło *lchórzstwo*.

Bądź pewnym Yoryku, rzekła *przezorność*, że wszyscy powiedzą: że to twoja kochanka, i żeście się w Calais zjechali.

Świat cię okrzyknie za uwodziciela, zawołała głośno *obluda*, nie będziesz mógł zająć wysokiego stanowiska w kościele, zauważyła *podłość*; ani też zostać niczém więcej, jak biednym plebanem, poszepnęła *duma*.

Lecz sama grzeczność tego wymaga, rzekłem do siebie; a że zwykle postępuję za pierwszym popędem serca, i rzadko kiedy na te nieczne podszepty zwracam uwagę, bo one o ile wiem z przekonania, do niczego więcej posłużyć nie mogą, jak tylko do zatwardzenia serca, zwróciłem się więc nagle do nieznajomiej.

Lecz już jej nie było przy moim boku. Właśnie w tój chwili, gdym walczył z memi nikczemnymi skłonnościami, moja dama znikła niespostrzeżona, i oddaliła się odemnie o dziesięć lub dwanaście kroków. Nie tracąc ani chwili pośpieszyłem za nią, w chęci przedstawienia jej w jak najdelikatniejszy sposób, powziętego ostatecznie zamiaru. A widząc ją z głową na jednej ręce opartą, z wzrokiem w ziemię utkwionym, powolnym krokiem zamysłonej osoby postępującą, przyszło mi na myśl, że i jej serce podobną w tój chwili stacza walkę.

Oby niebo przyszło ci w pomoc! rzekłem do siebie; ma niewątpliwie jaką świekrę skromnisię, jaką ciotkę obłudnicę, którejby rady w tym przypadku tak chętnie jak i mojej posłuchać pragnęła. Nie chcąc więc okazać się jej

natrętnym, i uważając że przyzwoitszą drogą do osiągnięcia celu, jest delikatność niż podejście, zwróciłem się i kilka razy przeszedłem się tam i napowrót przed wrotami wozowni, gdy tymczasem dama w głębokim pograżona namyśle przechadzała się po drugiej stronie ulicy.

NA ULICY.

Upewniwszy się z pierwszego ujrzenia mojej pani że należy do doskonalszego rzędu istot, i wyprowadzwszy drugi wniosek, tak niewątpliwy, że go za pewnik uważaćby można, że nieznajoma jest wdową w ciężkim pograżona smutku, badać moich posuwać dalej nie widziałem już potrzeby; taki bowiem stan rzeczy bardzo mi się przyjaznym wydał dla moich zamiarów, i gdyby do północy była ze mną pozostała byłbym się wiernie trzymał mojej zasady, uważając ją jedynie pod ogólnym względem.

Zaledwie oddaliła się odemnie na dwadzieścia kroków, uczułem nową chęć dokładniejszego zbadania nieznajomiej, co naturalnie mogło być skutkiem obawy jaką we mnie rodziło przykre wspomnienie bliskiego z nią rozstania; mogłem jej więcej nie ujrzeć! Serce przywieźnuje się do czego tylko może. Staralem się więc wynaleźć drogę, któraby życzenia moje najpewniej do niej trafić mogły, gdyby to nasze widzenie miało być ostatniem; słowem, chciałem poznać jej nazwisko, jej imię i jej godność, dowiedzieć się z kąd przybywa, bo miejsce dokąd dążyła sama już wymieniła. Lecz jak do tego przystąpić, by się o wszystkiem wywiedzić, nie wiedziałem na to sposobu; tysiąc względów delikatności stawało mi na przeszkodzie. Ze dwadzieścia zrobiłem pomysłów, lecz żaden nie był odpowiednim celowi; wprost się jej zapytać, to jakos nie wypadało, to dla mnie było rzeczą niepodobną.

Lecz pewien młody officer francuzki, wytwornej postawy, który śpiewając szedł ulicą, dowiódł mi, że to co uważałem dla siebie tak trudnem, niepodobnem do wykonania, było najłatwiejszém w świecie. Skoro bowiem nieznajoma do bramy wozowni wróciła, on się wcisnął między nią i mnie, powiedział mi swoje nazwisko i stopień, i zarazem upraszał, abym nie odmawiał mu tego zaszczytu, i tój pani go przedstawił.

— Ja sam nie miałem tego szczęścia, być jej przedstawionym, odrzekłem na to.

Obrócił się więc do niej, i sam to uczynił, zapytując przytém czyli nie z Paryża przybywa?

— Nie, tam właśnie jadę — odpowiedziała.

— Może z Londynu?

— Nie, rzekła.

— To zapewne przybywasz pani z Flandryi. Najpewniej pani musi być Flamandka?

— Tak, — odezwała się dama.

— Pewno z Lille?

— Nie.

— To może z Arras? lub Cambray? może z Gandawy lub Bruxelli?

— Jestem z Bruxelli, — rzekła nieznajoma.

— Miałem zaszczyt, dodał — w ostatniej wojnie być przyobleżeniu tego miasta, i wyznać muszę że w tym względzie przedziwnie położone. Pełno w niem było szlachty, kiedy cesarskich Francuzi wypędzili.

Dama lekkim ukłonem odpowiedziała na te wyrazy.

Skreśliwszy jej na prędce obraz całego tego wypadku, i udziału w nim mianego, prosił, żeby wyjawieniem swojego imienia zaszczycić go raczyła, i w tój chwili skłonił się nisko i odszedł.

— Pani pewno ma męża? zapytał się jeszcze, obróciwszy się po kilku krokach. I nie czekając odpowiedzi, w podskokach udał się w dalszą drogę.

Przez cały ten czas przypatrywałem mu się z zadziwieniem i w końcu pomyślałem sobie, że nigdybym tego nie dokazał.

WOZOWNIA.

Pan Dessein powróciwszy z właściwym kluczem, otworzył nam bramę wozowni do której natychmiast weszliśmy.

Pierwszym przedmiotem, na którym wzrok mój spoczął, była druga, stara, chwiejąca się dezobliżantka, wizerunek tamtej, która przed godziną może na podwórze mi się podobała, lecz na widok której, później przykrego doznałem uczucia. Pomyślałem sobie, że człowiek tylko nie okrzesany, nieużyty, mógł stworzyć podobny powóz, i nienajkorzystniejszego miałem także wyobrażenie o tym, kto z niego robi użytek.

Zauważyłem, że podobny wstręt uczuła także i nieznajoma. Pan Dessein zaprowadził nas tedy do dwóch powozów, obok siebie stojących, a chcąc im nadać większą wartość, powiedział, że lordowie A i B nabyli je w celu odbycia niemi wielkiej podróży; ponieważ zaś nie zaszły dalej jak do Paryża, można je było zatem jako nowe jeszcze uważać.

— Dla mnie, panie Dessein, powiedziałem, — są one za wytworne; a powiedziawszy to, zbliżyłem się do trzeciego powozu, który stał tuż za niemi i zapytałem o cenę. Jednakże, rzekłem, otwierając drzwiczki i wsiadając do niego, tu z wielką trudnością zaledwie dwie osoby pomieścić się mogą.

— Racz pani zająć w nim także miejsce, odezwał się pan Dessein, podając nieznajomej swoją rękę.

Dama po chwilowem wahaniu się, wsiadła wreszcie.

Tymczasem wezwano śpiesznie pana Dessein do gospody; nie tracąc więc chwili, zamknął drzwiczki i nas samych zostawił.

JESZCZE WOZOWNIA.

— To rzecz zabawna, rzekła pani z miłym uśmiechem; — po raz już drugi, tak szczególnym sposobem przypadek łączy nas z sobą; to bardzo śmieszne.

— Nie pozostaje nic więcej, jak tylko zdarzenie to zabawnem uczynić, odpowiedziałem; — tak, nie brakuje niczego, prócz użytku pociesznego, jakiby zalotność Francuza

z tego zrobić umiała. W pierwszej chwili oświadczyć się z miłością, a w drugiej prosić o wzajemność.

— O! do tego są oni jedyni — odrzekła pani.

— Tak powszechnie utrzymują, ale dla czego? prawdziwie nie wiem, — mówiłem dalej. To wiem tylko, że wszyscy oddają im sławę że się lepiej na miłości znają, jak którykolwiek z innych narodów na ziemi. Co do mnie, uważam ich za najniezręczniejszych, i za najgorszych łuczników, jacy tylko kiedykolwiek cierpliwości Kupida nadużywali. Nie pojmuję, jak swoją miłość przez zmysłowe uczucie objawić można! Więcej prawdopodobną uznalbym

możność zrobienia pięknej sukni z tysiąca lat i obrzyneków. Oświadczać się zaraz po pierwszym widzeniu! Jest to ofiarę swojej miłości i siebie samego, wystawiać na niebezpieczeństwo zostania odrzuconemi przez czysty i zimny rozsądek.

Nieznajoma słuchała mnie, spodziewając się czegoś więcej usłyszeć.

— Widzisz pani, dodałem — kładąc moją na jej rękę... że ludzie poważni miłość dla jej nazwiska, Samoluby, dla niej samej,

Obłudnicy, dla nieba nie nawidzą.

A nie ulega wątpliwości, że każdy, czy to młody, czy stary, wszyscy mówię, więcej przez nią ustraszeni, jak zranieni bywają. Jakiegoż więc niedoświadczenia dowodzi ten, kto to słowo pierwej, jak po dwóch godzinach przykrego i nieznośnego milczenia z ust wypuści! Zdaje mi się, że szereg drobnych i cichych względów, czasami przyjazne i czule spojrzenia, słów mało, lub też zgoda nie, co to wszystko przyroda oddała panowaniu miłości, więcej jest wymownem i korzystniejszem sposobem serca kochanki.

— Tym więc sposobem, rzekła nieznajoma — spło-

nawszy rumieńcem, pan przez cały ten czas miłość mi swoją objawiałeś.

JESZCZE RAZ WOZOWNIA.

Pan Dessein powrócił, a otwierając zamknięte niedawno przez siebie drzwiczki oświadczył mojej damie, że hrabia L. jej brat, w tej chwili przybył do gospody. Jakkolwiek jej z całego serca wszystkiego dobrego życzyłem, wyznać jednak muszę, że z tego wypadku nie bardzo się ucieszył; nie mogłem też tego przenieść na siebie, abym jej tego nie dał poznać, mówiąc do niej z pewnym rodzajem ubolewania, że przypadek ten stał się



Zbliżył się wreszcie do nas i z uprzejmością podał mi swoją rogową tabakierkę, którą trzymał w ręku.

przeszkodą w wykonaniu zamysłu, z którym się pani oświadczyć chciałem.

— To zupełnie byłoby zbyt cennym, rzekła — nie pozwalając mi mówić więcej, i kładąc swoją rękę na mojej. Rzadko mężczyzna, mój dobry panie, ma coś przyjemnego kobiecie oświadczyć, czegoby ona naprzód już nie przeczuwała.

— Tak, odparłem — przyroda obdarzyła ją tym przecuciem, jakby obronną tarczą, przeciw zasadzkom.

— Ależ przecie, żywo przerwała — patrząc prosto mi w oczy, przy panu nie miałam potrzeby niczego się obawiać, a powiedziawszy prawdę, gotową byłam przyjąć oświadczenie pana. Gdybym je była przyjęła, — tu zatrzymała się na chwilę — wtedy twoje współczucie, włożyłoby na mnie obowiązek, opowiedzenia ci mojej historii, któraby w litosci jedyne niebezpieczeństwo dla nas w podróży mogła być stworzyć.

A powiedziawszy to, z niewymownym wdziękiem podała mi swoją rączkę, na którą pozwoliła złożyć dwa gorące pocałunki, po czym z okiem pełnym czułości i żalu, wyskoczyła z pojazdu i śpiesznie się oddaliła.

NA ULICY.

Zaledwie znalazłem się sam jeden, ogarnął mnie niepojęty smutek. Każda minuta wydawała mi się wiekiem, i nigdy jeszcze kupna dwaście gwineów wynoszącego, tak prędko nie ukończyłem. Kazałem więc bezzwłocznie przyprowadzić konie z poczty, a sam wróciłem do oberży.

— O nieba! zawołałem — słysząc godzinę czwartą, bijącą na zegarze miejskim, i przypominając sobie, że zaledwie godzinę jestem w Calais.

Jakiż ogrom wypadków mieścić w sobie może ten krótki przeciąg czasu dla człowieka, którego serce we wszystkiemu udziału przyjmuje, który wszystko chce wiedzieć, co tylko czas i przypadek mu nastręczy, i nic nie opuszcza czem się zająć może!

Nie wiem, czy dziełko moje przyniesie jaki pożytek, ale to nic nie szkodzi; poświęcone ono jest badaniu natury ludzkiej; praca chęci moje wynagradza, a to dla mnie wystarczy; praca ta mówię, dodawała nowy popęd krążeniu krwi mojej, rozpraszała smutne myśli, kształciła sąd o rzeczach, oświecała rozum. Ubolewam nad takim człowiekiem, który odbywszy podróż z Dan do Beosheby, zawołać może: *wszędzie pusto!* Wierzę bardzo, i świat cały jest pustką dla niego, bo pielęgnować nie chce owoców, które on mu wydaje. Upewniam, rzekłem z przyjemnością składając ręce, że nawet w najodludniejszej pustyni, znalazłbym jeszcze coś takiego, coby moją przychylność i zamilowanie dla siebie zjednało. W braku czegoś lepszego, zwróciłbym moją uwagę na mirt luby, lub też szukałbym gdzie smętnego cyprysu i do niego całą duszą się przywiązał; w ich cieniu dobroczynnym szukał-

bym schronienia, na ich korze wyrylbym moje imię i przysiągł, że mi są najmiłszymi z całej pustyni. Smuciłbym się wspólnie z nimi, widząc ich opadające liście i radość moją z nimi bym podzielał, na widok ich powracającej zieloności.

Uczony Smelfungus, podróżował z Boulogne do Paryża, z Paryża do Rzymu i tak dalej. Ale uczony Smelfungus miał żółtaczkę; nadto cierpiał splin. Wszystkie zatem przedmioty które napotykał, przedstawiały mu się w innym świetle i kształcie. Pozostawił nam opis tej podróży, który niczem więcej nie jest, jak tylko zbiorem posępnych uczuć.

Spotkałem Smelfunga w wielkim portyku Panteonu, z kąd właśnie wychodził. „*Jest to tylko obszerny cyrk, do walki kogutów właściwy,*” rzekł do mnie.

— Obyś nigdy gorzej o Wenerze Medycyjskiej nie powiedział, odrzekłem na to — bo w przejeździe moim przez Florencją dowiedziałem się, że jak najgorzej obszedł się z tą boginią, gorzej jeszcze jak z najostateczniejszą nierządnicą.

Po raz drugi spotkałem Smelfunga w Turynie wracającego z swoich podróży. Same tylko smutne wypadki, na morzu i lądzie mi opowiadał: o Kannibalach, którzy się nawzajem pożerają, o ludożercach i tym podobnych przygodach. W każdej gospodzie gdzie stanął, skórę z niego zdzierano, i gorzej się z nim obchodzono, jak z samym s. Bartłojem.

— O! świat cały wiedzieć o tym będzie, tak, bo jamu to ogłoszę, — zawołał Smelfungus.

— Lepiejbyś uczynił, gdybyśotwemu lekarzowi powiedział, odrzekłem mu na to.

Mundungus człowiek bardzo bogaty, odbył także podróż z Rzymu do Neapolu, z Neapolu do Wenecyi, z Wenecyi do Wiednia, Drezna, Berlina, niezrobiwszy nigdzie najmniejszej znajomości, nie uniosłszy z sobą żadnych miłych wspomnień z podróży.

Spiesznie przebiegał gościńce, nie spoglądając ani w prawo, ani w lewo, z obawy, aby go litosc lub miłość z drogi nie zwróciła.

Pokój wam, jeżeli tylko znaleźć go możecie. Ale zdaje mi się, że nawet samo niebo, gdyby się do niego z takim usposobieniem wewnętrznym dostać było można, nie potrafiłoby wlać spokoju w ich dusze. Napróżnoby wszystkie duchy niebieskie, na skrzydłach miłości kunim podleciały, by radośnie powitać przybywających; dusze *Smelfunga* i *Mundunga* tego by nie pojęły, bo nie przyniosły z sobą zdolności czucia tych pieni radości, tego uniesienia miłości wzajemnej, i rozkoszy wypływającej z wzajemnego i spólnego szczęścia. O jak ich stan godny politowania! bo chociażby Smelfungus i Mundungus, mieli sobie wskazane najszcześniejsze miejsce w niebie, dusze ich nie zdolne kosztować tego szczęścia, wiecznych doznawałyby udręczeń.



Powtórzyła mi to trzy razy. . . .

MONTREUIL.

Mój tłóмок spadł raz z tyłu powozu; zmuszony więc byłem podczas ulewnego deszczu wysiąść, i po kolana w błocie brodzić, aby pomódz poczytliwemu napowrót go przywiązać. Nie mogłem pojąć, co się ze mną działo. Za przybyciem do Montreuil, właściciel gospody w której stanąłem, zapytał mnie, czy służącego nie potrzebuję, a pytanie to naprowadziło mnie na myśl, czego mi brakuje.

— Służącego? powtórzyłem — o! tak, ten mi jest niezbędnie potrzebny.

— Znam tu młodego, zwinnego chłopca, któryby sobie poczytał za największe szczęście, zostawać w służbie u Anglika, — powiedział gospodarz.

— A dla czegoż koniecznie u Anglika? zapytałem — wszakżesz i u kogo innego, mógłby to samo szczęście znaleźć?

— Dla tego, że Anglicy wspaniale wynagradzają zasługi, odrzekł gospodarz.

— Otóż nie źle rzeczy idą, rzekłem sam do siebie, ta wzmówiona wspaniałomyślność wypłoszy tego wieczora z mojej kieszeni, więcej jak dwadzieścia franków.

— Ale bo też Anglicy mają środek pokazania się hojnymi, dodał gospodarz.

— Dobrze, pomyślałem sobie, i to mnie 20 su więcej będzie kosztować.

— Wczoraj właśnie w wieczór, mówił dalej gospodarz — milord angielski dał pokojowej talara.

— Tém gorzej dla panny Joanny, — odpowiedziałem.

Panna Joanna była córką gospodarza; ten zaś sądząc, że nie umiem należycie po francuzku, ośmielił się zrobić mi uwagę, że zapewne się pomyliłem mówiąc tém gorzej zamiast tém lepiej. Tém lepiej mówi się wtenczas panie, kiedy się co skorzysta; tém gorzej kiedy się nic nie zarobi.

— To zawsze na jedno wyjdzie, — odpowiedziałem.

— Daruj pan rzekł gospodarz, — to zupełnie jest co innego.

Za obowiązek poczytuję sobie uprzedzić czytelnika, że te dwa wyrażenia: tém gorzej i tém lepiej, są niejako dwoma głównymi osiami, koło których cała się rozmowa Francuzów kręci. Każdy przeto cudzoziemiec, winien się należycie z użyciem ich oswoić, wprzód nim się do Paryża uda.

Pewien młody roztrzepany francuzki margrabia, zapytał raz przy stole naszego posła pana *Hume*, czyli to on jest owym sławnym poetą *Hume*? Nie, — odrzekł poseł skromnie. Tém gorzej, odezwał się markiz. To jest dziejopis *Hume*, powiedział ktoś inny. Tém lepiej, — rzekł markiz; a pan *Hume*, człowiek z najlepszym sercem, za jedno i drugie miłe podziękował.

Po takiej nauczce, gospodarz zawołał młodego człowieka nazwiskiem *Lasleur*, o którym przed chwilą mi mówił. Z pochwałami nad jego zdolnością, rozwodzić się nie śmiem, bo pan sam najlepiej to ocenić potrafisz, lecz co do jego uczciwości, za tę najuroczyściej ręczyć mogę.

Po tém co mi gospodarz powiedział, łatwo poznałem, co mi czynić pozostaje, a *Lasleur* który za drzwiami stał z niecierpliwością nam wszystkim w pewnych razach właściwą, wszedł do pokoju.

Wrodzoną mam słabość, że każdy ktokolwiek chociażby po raz pierwszy mnie zobaczył, umie dla siebie zjednać; nigdy zaś łatwiej, jak kiedy biedak jaki takiemu jak ja biedakowi swoje usługi ofiaruje. Znając tę moją słabość, pozwalam zawsze rozsądkowi cokolwiek z tego ująć, mniej lub więcej, stosownie do mego chwilowego

usposobienia, do okoliczności, do płci osoby z którą mam do czynienia.

Zaledwie więc wszedł *Lasleur*, jego powierzchowność łagodna i otwarta uprzedziła mnie najkorzystniej na jego stronę. Bez chwili więc namysłu przyjąłem go do moich usług. Nie wiedziałem wprawdzie co umiał, ale pomyślałem sobie: w miarę moich potrzeb, poznam jego zdolności. Zresztą *Francuz* do wszystkiego jest sposobny.

Lecz jak wielce byłem zawiedziony przekonawszy się wkrótce, że mój *Lasleur* nic więcej nie umiał w świecie, tylko bębnić i grać na piszczałce. Mimo to wszakże postanowiłem spuścić się zupełnie na jego zdolności. Ale wyznać muszę, że nigdy rozsądek nie robił słabości mojej przykrzejszych wyrzutów, jak tym razem.

Lasleur powodowany szlachetną żądzą wszystkich jego współziomków ożywiająca, rozpoczął zawód swego życia w służbie wojskowej. Po upływie lat kilku i po zaspokojeniu swego popędu, nadto nabywszy przekonania, że zaszczyt być dobrym doboszem jedyną dla niego mógł być nagroda, nie otwierając mu wszakże innego pola do sławy, powrócił do rodzinnej wioski i żył tam z łaski boskiej, to jest powietrzem.

— Tak więc, odezwała się do mnie roztropność, — wzięłeś sobie dobosza do usług w podróży przez Francją i Włochy.

— Cóż to szkodzi, odrzekłem, — czyliż połowa naszej podróży szlachty, nie odbywa swych podróży z nigusami; a nie koniec jeszcze na tém, muszą oni z osobna i fajfra i djabła i wszystko zapłacić?

Jeżeli kto przykre swe położenie, taką pociechą osłodzić może, to jeszcze nie jest z nim tak źle, jakby się здаwać mogło.

— Ale, spodziewam się mój kochany *Lasleur*, że oprócz tego, jeszcze co więcej unieść musisz? — rzekłem do niego

— A jakże! odpowiedział; — umiem jeszcze szyc kamasze i grać na skrzypcach.

— Doskonale! — zawołała roztropność.

— Ja sam gram na basie, rzekłem, — to się przedziwnie złożyło, możemy dać koncert. Zapewne i golić umiesz i włosy trefić.

— Mam do tego najszczerze chęci, — odpowiedział.

— Przebóg! przerwałem — to dosyć, to dla mnie wystarczyć musi.

Tymczasem podano kolacją; zasiadłem do stołu. Z jednej strony miałem wesołego angielskiego pudła białego, a z drugiej Francuza służącego, który zdawał się być tak zadowolonym, jak tylko sam mógł zapragnąć. Ja także rad byłem z mojego państwa, i gdyby monarchowie mogli ograniczyć swoje żądze, mogliby równie jak ja być szczęśliwymi.

Lasleur w całej mojej podróży ciągle mi towarzyszył. Nie od rzeczy więc będzie lepiej z nim poznać czytelnika, i uprzedzić go, że nigdy nie miałem mniej przyczyn żalowania tego, że poszedł za pierwszym popędem mojego serca, kierującym mnie najczęściej w moich postanowieniach. Był bowiem z niego służący najwierniejszy, najtroskliwszy; słowem, była to dusza jedna z najpocziwszych, jaka kiedykolwiek przywiązała się do filozofa. Jego zdolności do bicia w bęben i robienia kamaszy, jakkolwiek dobre same w sobie, prawdę mówiąc do niczego mi posłużyć nie mogły; lecz za to ciągle jego wesołość wszystko mi wynagradzała, wszystkie wady jego i niedostatki zastępowała, i we wszystkich przeciwnościach i cierpieniach moich znajdowałem zawsze w jego wzroku pocieszenie. *Lasleur* nigdy niczem się nie dał zasmuć, i czy to głód lub pragnienie, zimno, niedostatek, lub czuwanie mu dokuczało, czy jaki nieprzewidziany wypadek w podróży

go spotkał, wyraz jego twarzy nigdy się nie zmienił; nigdy w nim żadnej różnicy nie dostrzegłem. Nie wiem, czy jestem filozofem czy djabeł czasem wmówić to chce we mnie; duma tego urojenia cierpi na samą myśl, ile wrodzonej filozofii tego chłopca winien jestem, i ile to razy ze wstydu tylko przed nim się poprawiłem. Z tém wszystkiém jednak Lafleur był nieco próżnym, ale ta próżność była mu raczej przyswojoną, jak wrodzoną. A po trzechdniowym pobycie moim w Paryżu zauważyłem, że wszystka próżność go opuściła.

Następnego dnia wskazałem nowo przyjętemu Lafleur'owi właściwe jego obowiązki. Odczytałem mu spis moich sześciu koszul i jednej pary jedwabnych spodni, i oddałem mu kluczyk od tłomoczka, w którym cały mój inwentarz się mieścił. Kazałem mu należycie go przymocować do powozu, zamówić konie, a w końcu przysłać mi gospodarza z rachunkiem.

— To szczęśliwy chłopiec, rzekł gospodarz, wskazując przez okno na pół tuzina dziewcząt, które Lafleura otoczyły i najserdeczniej z nim się żegnały. Lafleur wszystkie z kolei uściskał i uroczyście im przyrzekł, że im wszystkim odpust z Rzymu przywiezie.

— W całym mieście jest on powszechnie lubiony, dodał gospodarz — i po wszystkich kątach w Montreuil, będą go bardzo żałować. Jedną tylko ten chłopiec ma wadę, jest on bardzo romansowy.

To wybornie, pomyślałem sobie, nie będę przeto zmuszony co wieczór kłaść moich spodni pod poduszkę. Mówiąc to, nie tyle oddałem pochwały Lafleur'owi, jak sobie samemu. Przez całe bowiem życie moje, to w tej, to w owęj księżniczce byłem zakochany, i spodziewam się że do ostatniego tchnienia mego kochać nie przestanę, bo jestem mocno przeświadczony, że tylko podczas przerwy między jedną a drugą namiętnością, do złego uczynku jestem zdolny. Doświadczyłem bowiem, że jak długo to bezkrólewie w moim sercu panuje, jest ono jakby zamknięte i zaledwie nakłonić mnie potrafi, abym nieszczęśliwych nędzarzy lichym datkiem pieniężnym udarował. I to właśnie jest najdzielniejszym bodźcem do wydobywania się z takiego stanu, i w chwili kiedy ogień miłości serce me ożywi, staje się dobrotliwością i szcudroblowością chodzącą, i nie wiem do jakich ofiar nie jestem wówczas skłonny, byle tylko takowe wolne były od grzechu.

Lecz jakież cel tych słów? O! zapewne nie moją pochwałę, lecz hołd miłości głosić one mają.

UCINEK PISMA.

Ze wszystkich miast Tracyi, Abdera była najgłośniejszą z swojej bezbożności i zepsucia obyczajów. Napróżno żyjący w tém mieście Demokryt, używał całej potęgi szyderstwa i pośmiewiska, aby tamę zepsuciu położyć. Trucizna, spiski, morderstwa, szkalowania, paszkwile, zasadzki na niewinność, były tam tak upowszechnione, że w dzień człowiek nie był bezpiecznym na ulicy, a tem mniej w nocy.

Właśnie gdy te bezprawia na najwyższym stanęły stopniu, przedstawiono w Abderze *Andromedę* Eurypidesa, która widzów w zachwycenie wprawiała; ze wszystkich jednak najszczytniejszych miejsc, żadne tak wielkiego na ich serce nie wywarło wrażenia, jak to, w którym poeta czułe i tkliwe uczucia serca, w znaniej mowie patetycznej Perseusza, umieścił:

O miłości, królowo bogów i ludzi! etc.

Nazajutrz wszyscy tylko wierszami mówili, a mowa Per-

seusza stała się przedmiotem uwag i rozpraw. Na ulicy, i w każdym domu słyszeć mogłeś:

O miłości, królowo bogów i ludzi!

Wszystko brzmiało tém imieniem: o miłości, miłości! jakby dźwiękiem cudnego śpiewu, który unosząc duszę wysoko, o wszystkiém co tylko jest ziemskiém zapominać każe. Nie słyszano nic prócz: Kupidyńcie, kupidyńcie, królu bogów i ludzi. Ogień miłości wszystkich serca zajał, i całe miasto, jakby serce jednego człowieka jednem i tém samém tchnęło uczuciem.

Aptekarze i ziarnka ciemierzycy nie byli w stanie już sprzedać, żaden płatnerz nie miał dość odwagi, ukuć narzędzie śmierci; przyjaźń i cnota podały sobie ręce i na ulicy się uściskały, złoty wiek nastał i zajaśniał nad miastem Abdera; każdy Abderyta chwycił za swój flet a każda Abderytka zrzuciwszy z siebie szaty purpurowe, usiadła skromnie, i lubej piosnki słuchała.

Władza tylko bóstwa, mówi ucinek pisma, którego panowanie nieba i ziemi sięga i do głębi wód się rozciąga, taki cud zdziałać mogła.

MONTREUIL.

Gdy wszystko jest już załatwione, w oberży każda rzecz wytargowana i zapłacona, a wesołość przez to z twarzy nie ustąpi i posępność na czole nie zasiądzie, zawsze ci jeszcze u drzwi gospody okaże się sposobność spełnienia dobrego czynu, nim do powozu wsiędziesz. Dzieci ubóstwa w koło cię otoczą. Nigdy ich nie odpychaj; i bez tego wiele oni cierpień ponosić muszą. Lepiej węż do ręki kilka groszy rozdaj je pomiędzy nich. Nie potrzebujesz zapisywać powodów dla których dajesz; już one gdzie indziej zapisane będą.

Nikt zapewne nie daje mniej odemnie, ale bo téż nikt z tych wszystkich których znam, nie ma tak mało jak ja do rozdania. Pierwszy to raz we Francyi, dopełniłem publicznie miłosiernego uczynku, i dla tego téż, uczyniłem to z większą daleko uwagą.

— Niestety! zawołałem, podnosząc rękę z pieniędzmi do góry, nie mam jak tylko te ośm su do rozdania, a jak widzę jest tu ośm kobiet i tyluż mężczyzn, pomiędzy których rozdzielić je pragnę.

Jeden nędzarz w łachmanach, nie mający prawie koszuli na sobie, w tej chwili cofnął się w tył o dwa kroki z koła, z głębokim ukłonem uległości. Gdyby cały parter był zawołał: miejsce dla dam! — nigdyby nie można było widzieć, więcej powolności dla kobiet.

— Sprawiedliwe nieba! pomyślałem sobie, dla jakichże to mądrych powodów, rozrządziłyście w ten sposób, aby ubóstwo i grzeczność, w innych krajach nigdy nie chodzące w jednej parze, tu we Francyi tak ściśle z sobą były połączone!

Przez wzgląd jedynie na jego grzeczność, dałem mu jednego su.

Drugi z kolei biedak, mały, zgarbiony, w nieustannych ruchach, stojący w kole wprost naprzeciwko mnie, wsunawszy coś podobnego do kapelusza pod pachę wydo był z zanadru tabakierkę, i w prawo i w lewo tabaką częstować zaczął; była to hojność jak na niego nie mała, wszyscy téż grzecznie mu odmawiali. Nieborak jednak nie zrażał się tém i z uprzejmością nie szczędził swego daru: bierzcie, bierzcie, wołał na wszystkich, a tak każdy uraczył się wreszcie tabaczką. Byłoby to okrucieństwem, pomyślałem sobie, żeby ci kiedykolwiek w tabakierce zabraknąć miało; zażywszy przeto z niej aby datek droższym uczynić, włożyłem w nią dwa su. Umiał on wyżej ocenić wartość pierwszój jak drugiej grzeczności, bo

przez jedną wyświadczyłem mu zaszczyt, a przez drugą samo tylko dobrodziejstwo; dla tego też skłonił się mi głęboko.

— Oto masz dwa su, — rzekłem do starego żołnierza bez ręki, wychudłego od nędzy.

— Niech żyje król! — zawołał stary wojak.

O! temu oprzeć się też nie można, — pomyślałem sobie.

— Milordzie! — Sam już dźwięk tego słowa wart był złota, przypłaciłem go też ostatnim su. W zapale z jakim czyniłem podział ofiary, nie zwróciłem uwagi na wstydlwego ubogiego za którym nikt nie prosił, a który jak mi się zdaje wolałby raczej głodną śmiercią umrzeć, niż błagać o jałmużnę. Stał on blisko pojazdu z boku i krople łez spływających po twarzy ocierał, po twarzy, która pamiętkę szczęśliwszych dni nosiła.

— Miły Boże! — zawołałem otóż ani jednego su nie mam już dla niego.

— Masz przecież tysiące! odezwały się we mnie wszystkie razem władze przyrody, smutnym obrazem nędzy wzruszone. Dałem mu więc, nie chodzi tu wcale o to, ile. Wstyd mi teraz powiedzieć, ile dałem. Jeżeli zatem czytelnik z tych dwóch danych wskazówek może sobie wystawić ówczesny stan mego umysłu, łatwo odgadnie, ile dałem, mając wybór między jednym a dwoma liwrami.

Dla innych nic już dać nie mogłem. Wsiadłem do powozu i pożegnałem ich temi słowy: „Niech was Bóg opatrzy.”

— Niech cię samego dobry Bóg błogosławi! — wołali, stary żołnierz, garbaty i t. d. Wstydlwy ubogi nie był w stanie wyrzec ani słowa; wyjął tylko chustkę z kieszeni, a obróciwszy się w przeciwną stronę, obtarł nią łzą zaszele oko. Pomyślałem sobie że on mi lepiej podziękował nad wszystkich.

KOŃ POCZTOWY.

Po ułatwieniu tych wszystkich drobnostek wsiadłem do powozu, uradowany więcej aniżeli kiedykolwiek w życiu. Lafleur w palonych bótach, wsiadł na konia pocztowego, a siedząc na nim wyprostowany jechał przedemną, szczęśliwy jakby jaki książę.

Lecz czemuż jest szczęście, wielkość, na tej różnobarwnej widowni życia? Zaledwie ujechaliśmy milę, pozostawiony na drodze zdechły osieł wstrzymał nagle bieg Lafleur'a. Koń jego nie chciał iść dalej, wszczął się między nimi spór który się na tém zakończył, że za pierwszym uderzeniem konia, mój biedny Lafleur wypadł z siodła.

Wypadek ten zniósł nieborak z całą cierpliwością francuzkiego chrześcianina, nie rzekłszy na to ani mniej ani więcej jak *diable!* poczem powstał z ziemi; wsiadł znowu na konia, spróbował raz jeszcze czy bydlęcego uporu nie przemoże, bijąc w jego boki jakby w bęben.

Biedny koń kręcił się to w prawo, to w lewo drogi, to znów nazad, to tu, to owdzie; słowem był wszędzie, tylko nie tam, gdzieby osła mógł ominąć. Lafleur przeciwnie, chciał postawić na swoim i powtórnie został zrzucony.

— Lafleur! cóż to się stało twemu koniowi? — zapytałem go.

— Panie, odpowiedział — to najupartsza w świecie szkapka.

— No, jeżeli ma swoją własną wolę, to niechże idzie za nią, — rzekłem doń na to.

Lafleur zsiadł więc z niego i silnie go uderzył. Koń złapał mnie też za słowko, bo zwróciwszy się pobiegł sobie prosto do Montreuil napowrót.

— *Peste!* — zawołał Lafleur.

Nie będzie tu od rzeczy uczynić uwagę, że lubo La-

fleur przy tém zdarzeniu, dwóch tylko wykrzykników różnych użył, to jest: *diable* i *peste!* mowa wszakże francuzka trzy ich posiada, na sposób trzech grammatycznych stopni porównania, z których każdy do wszelkiego nieprzewidzianego zdarzenia ma właściwe sobie zastosowanie.

Diable! jest to pierwszy stopień; używany zwykle bywa w zwyczajnych wzruszeniach umysłu, jeżeli tylko drobnostki, rzeczy małej wagi, nad nasze spodziewanie się wydarzą; jak np. jeżeli ktoś w kostki wyrzuci asy, lub jeżeli jak Lafleur z konia spadnie; jeżeli komu rogi przypawiają, mówi się także *diable!*

W innych zaś przypadkach grozących niejako pewnym niebezpieczeństwem, jak np. tutaj, kiedy koń uciekł, a Lafleur w wielkich swoich bótach palonych znalazł się na ziemi, wtedy zachodzi wyższy stopień porównania, i mówi się: *peste!*

Co do trzeciego stopnia.

Ale tu serce się mi kraje z politowania, wystawiając sobie, ile cierpień gorzkich doznać musiał naród tak oświecony, że do użycia tego wyrazu widział się być zniewolonym.

O potęgę, która w potrzebie język nasz wymownym czynisz, użycz mi, jakimkolwiek ulegnę przeznaczeniu, użycz mi tylko wyrazów, abym takowe przyzwoicie mógł w mojej boleści oddać, a ja sobie gwałtu zadawać nie będę.

Ale język francuzki nie ma takich wyrazów; postanowiłem przeto znosić cierpliwie wszelkie dotkliwe wypadki bez żadnych wykrzykników.

Lafleur, który nie uczynił takiego postanowienia, śledził natężonem okiem zbiegłego konia dopóki tylko mógł go dosięgnąć; a w końcu gdy znikł zupełnie, można się domyslić jakimi wyrazami zakończył cały ten wypadek.

Gdy nie było podobna ściagać w ogromnych bótach zbieganego konia, nie pozostawało nic więcej do wyboru, tylko kazać Lafleur'owi zająć miejsce z tyłu powozu, lub też posadzić go obok siebie. Wybrałem to ostatnie, i za pół godziny stanęliśmy na poczcie w *Nampont*.

NAMPONT.

Z DECHŁY OSIEŁ.

„Oto, rzekł, wyjmując ostatki zeschłego chleba z torby, oto tém bylibyśmy się podzielili gdybyś był został przy życiu.” Sądziłem, że człowiek w ten sposób przemawiający, ubolewa nad zgonem swego dziecięcia. Wkrótce jednak wyszedłem z błędu, bo te jego słowa odnosiły się do tego zdechłego osła, któregośmy widzieli na drodze, i który stał się dla Lafleur'a przyczyną tak nieprzyjemnego wypadku. Człowiek ten uczył dotkliwie stratę bydlęcia, i to właśnie przypominało mi zaraz żale Sansza Pansy, także nad zgonem swojego osła. Ta tylko pomiędzy nimi zachodziła różnica, że żale których naocznym byłem świadkiem, więcej w sobie mieściły boleści.

Biedny, siedział na ławce kamiennej koło bramy; derę z siodłem i uździenicą miał przy sobie, które raz podnosił, to znowu składał, i spoglądając na nie potrzasał głową. Następnie wziął kęs chleba z worka, jak gdyby go chciał spożyć, trzymał go przez chwilę, położył go potem przy uździenicy, spoglądał nań smutnie, i w końcu ciężkie wydał westchnienie.

Ten szczególny rodzaj żalu ściągnał w końcu wiele ludzi w koło niego, nawet i Lafleur tam się zbliżył, podczas gdy zaprzęgano do naszego powozu. Ja nie wy-

siadałem, mogłem przeto po nad głowy wszystkich, wszystko dokładnie widzieć i słyszeć.

Człowiek ten opowiadał że przybywa z Hiszpanii, dokąd się był udał z głębi Frankonii, i że w powrocie do domu osieł jego upadł i zdechl. Każdy ciekawy był wiedzieć co też takiego staruszka zmusić mogło do przedsięwzięcia tak wielkiej podróży.

„Niestety! rzecze on, niebo udarowało mnie trzema synami, najładniejszymi chłopcami z całych Niemiec. Utraciwszy jednak w jednym tygodniu obudwu starszych na ospę, a najmłodszego widząc zagrożonego tém samym niebezpieczeństwem, lękałem się aby mi i ten nie umarł, i zrobiłem ślub, że jeżeli mi Bóg trzeciego syna od śmierci uchowa, odprawię pielgrzymkę do s. Jakóba w Kampostelli.

Tu się zatrzymał, i rzewnie zapłakał, a uspokoiwszy się nieco tak dalej mówił: „Bóg raczył przyjąć moją obietnicę, w skutek tego wybrałem się był ze wsi z tém bydłkiem, które będąc cierpliwym towarzyszem podróży, przez całą drogę jednym chlebem z mną na wspólny żył i najlepszym moim było przyjacielem.”

Każdy z jego słuchaczy litował się nad nim. Lafleur chciał go wesprzeć datkiem pieniężnym; lecz ów człowiek nie przyjął go mówiąc, że nie wartość osła, ale utrata jego, jest powodem żalu; „pewny jestem, że on mnie kochał.” Na dowód tego opowiedział obecnym pewne zdarzenie w przejściu przez Pireneje, w których się zbłąkali i rozłączeni z sobą byli przez trzy dni całe, przez który to czas wzajemnie się szukali i prawie nie jedli i nie pili, dopóki się nie odszukali.

— Dotkliwą stratę biednego bydła, rzekłem, osładza ci przynajmniej pełne pociechy wspomnienie, żeś był dla niego panem litościwym.

— Tak niestety! za życia jego i ja byłem t go zdania, ale teraz to sądzę inaczej. Lękam się, czy mój ciężar nie był za wielki dla niego; niezawodnie on to skrócił dni biednego zwierzęcia, a ja teraz śmierć jego będę miał na sumieniu!

— Jaki wstyd ludziom! pomyślałem sobie; gdybyśmy wszyscy wzajemnie tak się kochali, jak ten człowiek kochał swojego osła, o! wówczas inaczej byłoby na świecie.

POCZTYLION.

Powieść ta wielce mnie rozczuliła; pocztalion wszakże wcale nie zważając na moje rozczulenie, cwałem po bruku ze mną popędził.

Nigdy podróżny dręczony pragnieniem wśród najgorętszych piasków Arabii nie pragnie chętniej kropli wody, jak moja dusza pragnęła spokojnego i powolnego ruchu; i najkorzystniejsze o pocztalionie powziąłbym mniemanie, gdyby był jechał wolnym krokiem. Ale jakby na złość, właśnie kiedy ów pielgrzym z dalekich stron przybywający żale swe skończył, pocztalion tak silnie zaciął konie, że poleciały jak szalone.

— Na miłość Boga! wołałem, nie pędź tak jak waryat. Lecz im bardziej krzyczałem, tém on bardziej poganiał konie.

— Niech cię лихо porwie! zawołałem wreszcie; pewnie dopóty lecieć tak będzie, dopóki mnie nie rozzłości, a potem pojedzie zwolna, aby mi dać uczuć całą słodycz takiej jazdy.

I w istocie tak się stało: wkrótce stanęliśmy przed wielkim pagórkem, o pół mili od Nampont, i konie postępowały noga za nogą. Rozgniewałem się na niego, a potem na siebie, za to, że się gniewałem. Teraz pojednać cwałem byłoby mi bardzo przyjemnie.

— Pojeżdżaj prędzej, mój bracie, — rzekłem do niego. —

Pocztalion wskazał na górę. Chciałem wtedy myśli moje zwrócić napowrót do powieści biednego Niemca z osłem, ale cóż, kiedy straciłem wątek, a znalezienie go było dla mnie tak trudnem jak pocztalionowi przyspieszenie biegu.

— A to już nie do zniesienia, pomyślałem sobie; radbym wszystko uczynić jak najlepiej, a tu mi właśnie jak na złość wszystko na opak idzie.

Lecz natura niewyczerpaną jest w środkach na wszelkie cierpienia; i ja tego doznałem mocno zasnąwszy. Pierwsze słowo, które mnie przebudziło było: *Amiens*.

Dzięki Bogu! zawołałem przecierając oczy; tutaj to właśnie moja piękna nieznajoma ma przybyć.

AMIENS.

Zaledwem to wymówił, przemknął się szybko koło mnie powóz hrabiego L. unoszący jego siostrę, która w teje chwili ujrawszy mnie, miłym powitała ukłonem, a w oczach jej zdawało mi się widzieć, że ma mi coś do powiedzenia. Nie zawiadłem się w tém oczekiwaniu, bo tylko com skończył kolacją, wszedł do mnie służący jej brata z listem, w którym mnie prosiła, abym załączając się list do pani R. zaraz pierwszego dnia, w którym nie będę miał nic pilnego do czynienia w Paryżu, oddał podług adresu. Dodała w końcu, że pomimo jej najszczerzej chęci nie miała sposobności opowiedzieć przygód swojego życia, jednak się od tego nie wymawia, i zapewnia, że jeżeli kiedy w przejeździe przez Bruxellę przypomnę sobie panią L., żeby starał się z nią widzieć, a ona z przyjemnością dopełni swego przyrzeczenia.

O! muszę cię widzieć piękna pani i to z wielką przyjdzie mi łatwością; wszakże w powrocie z Włoch przez Niemcy do Hollandyi, a ztąd przez Flandryą do domu wrócić mogę. Nawet dziesięciu stacyi nie będzie mi z drogi, a choćby i tysiąc było! cóż mnie to obchodzi? Co za rokosz w nagrodę moich trudów, dowiedzieć się przypadków tak zajmującej osoby, które mi ona sama, opowiadać będzie! Widzieć ją płaczącą! a lubo nie będę w stanie łez jej osuszyć, jakież błogie uczucie serce me przepelni, jeżeli będę mógł chociaż je tylko otrzeć z lica najpiękniejszej kobiety, siedząc przy niej noc całą w milczeniu!

Zapewnie w tej myśli nic złego nie było. A jednak robiłem mojemu sercu pełne goryczy wyrzuty.

Miałem zawsze to szczęście być ciągle zakochanym, a gdy ostatni mój płomień nagle wybuchem zazdrości został zagaszony, rozpalił się na nowo znowu przed trzema miesiącami przy pięknych oczach Elizy, której przysięgłem, że przez całą podróż moją pozostanę wiernym. Bo na cóż miałbym się z tém ukrywać? Przysięgłem jej wieczną wierność, miała więc prawo do mojego całego serca; dzieląc moją miłość, byłoby to uszczuplać jej prawa, narażeniem ich można je było wystawić na niebezpieczeństwo i stratę. I cóżbyś wtedy Joryku mógł odpowiedzieć owemu zaufania pełnemu sercu, które zarazem jest tak dobre, tak łagodne i pobłażające?

Nie, nie pojedę do Bruxelli, odrzekłem przerywając sam sobie moje uwagi. Na skrzydłach bujnej wyobraźni jeszcze dalej sięgnąłem. Przywiódłem sobie na myśl jej pełne czucia spojrzenia w chwili naszego pożegnania, gdyśmy oboje nie mogli wyrzec ostatniego słowa. Spojrzałem na jej miniaturę, którą mi wtedy na czarnej wstążeczce na szyi zawiesiła; rumieniec wstydu pokrył me lica. Wszystkie skarby ziemskie oddałbym gdybym ją mógł ucałować, tajemne jednak wyrzuty nie ośmielały mnie do tego.

Miałżeby ten kwiatek tkliwy i miły, rzekłem, ściskając miniaturę w mych dłoniach, zwiędnąć aż do korzenia,

i to przez ciebie Joryku, coś przyrzekł że swemi pieściami zasłaniać go będziesz?

O ty wieczne szczęśliwości źródło! zawołałem, padając na kolana, i wy duchy niebieskie bądźcie świadkami przysięgi, że nie pojedę do Bruxelli, chyba w towarzystwie Elizy; chociażbym na tej drodze szczytu szczęścia dosięgnął.

Serce w podobnych uniesieniach, bez względu na rozsądek zwykle za wiele przyrzeka.

LIST.

Shczęście nie bardzo sprzyjało Lafleur'owi w jego rycerskich czynach, a od czasu rozpoczęcia u mnie służby, nie przedstawiła mu się żadna przyjazna sposobność okazania gorliwości. Biedny chłopiec pałał niecierpliwością. Przybycie służącego hrabiego L. z listem zdawało mu nastrożać dobrą sposobność; nie zaniedbał więc korzystać zaraz z tej okoliczności. Wziął go z sobą do oberży, i uraczył kilku szklankami najlepszego pikardyjskiego wina; służący zaś hrabiego L. aby się nie dać przesadzić Lafleur'owi w grzeczności, zaprosił go nawzajem do gospody, w której hrabia L. stał.

Wrodzona wesołość Lafleur'a i jego łagodność, ujęły mu wszystkich domowych, a że Francuz nie ma nigdy zwyczaju ukrywać się z swemi zaletami, jakiegokolwiek są one rodzaju, Lafleur więc po pięciu zaledwie minutach dobył swego flecika i w mgnieniu oka pokojową, murgrabiego, kucharza, pomywaczkę i całą służbę domu, nawet psów, kotów i starą małpę do tańca pobudził; nigdy w żadnej kuchni od potopu świata nie było tak wesoło.

Pani L. przechodząc z pokoju brata do swojego, posłyszała na dole wesołe śmiechy; chcąc się dowiedzieć co słychać było tego powodem, zadzwoniła na pokojową, a usłyszawszy, że to służący podróżującego anglika flettem swoim tak pobudził wszystkich do wesołości, kazała go do siebie przywołać.

Lafleur idąc na górę unyślił sobie tysiąc ukłonów i grzeczności od swego pana dla pani L. do których dołączył długi szereg zapytań względem stanu jej zdrowia, z dodatkiem, że pan jego byłby w rozpacz, gdyby pani L. była strudzona podróżą, wreszcie że odebrał list, którym go zaszczycić raczyła.

— Czy mi pan twój nie był łaskaw odpisać? rzekła pani L. przerywając Lafleur'owi.

Pani L. wyrzekła to z takim wyrazem pewności w oczekiwaniu, że Lafleur nie miał dość odwagi ją zawieść; dbał on o mój honor, a może też i o swój się obawiał niejako, aby nie pomyślano że służy u pana nieumiejącego zachować należnych dla dam względów; kiedy się go więc pani L. zapytała, czy ma list do niej, odrzekł: tak jest! Tu położywszy kapelusz na posadzce, przytrzymując prawą kieszeń lewą ręką, prawą począł szukać listu po kieszeni; toż samo uczynił z kieszenią lewą: *djabie!* rzecze, i sięgnął ręką w kieszeni kamizelki; *peste!* potem wszystko z nich na podłogę powyrzucił, wyjął chustkę na szyję, chustkę od nosa, grzebień, szlafmycę, zajrzał w kapelusz.

— Co za roztrzepanie! Zapomniałem listu w oberży na stole, zaraz po niego pobiegnę i zaparę minut powrócę.

Właśnie skończyłem kolację, kiedy Lafleur wpadł, i doniósł mi o swoim zdarzeniu; opowiedział mi otwarcie wszystko i w końcu dodał: jeżeli pan przypadkiem zapomniał odpowiedzieć na list pani, to można by jeszcze to wynagrodzić, a jeżeli nie, toby się i bez tego obejść mogło.

Nie byłem pewny, czy przyzwoitość pozwalała odpi-

sać lub nie, ale nawet sam djabeł nie mógłby się na Lafleur'a gniewać; za to, co jedynie przez gorliwość dla mnie uczynił. Jeżeli się źle wziął do tego, i mnie w przykre postawił położenie, to przynajmniej nie serce jego o to obwiniać wypadało. Ja nie widziałem koniecznej potrzeby pisania, ale Lafleur kontent z tego co uczynił, chciał jeszcze coś mówić.

Dobrze, dobrze, rzekłem do niego. Lafleur tymczasem wypadł jak strzała z pokoju i po chwili powrócił z piórem, atramentem i papierem, zbliżył się do stolika, wszystko przedemną rozłożył, a w jego twarzy jaśniała taka radość, że się mu oprócz nie mógł i musiałem się wzięść do pióra.

Lecz cóż było pisać? Zaczynałem, przestawałem i znowu zaczynałem. Zepsułem ze sześć ćwiartek listowego papieru. Jednym słowem nie byłem w usposobieniu do pisania.

Lafleur sądząc że atrament za gęsty jest przyczyną, że się mi pisanie jakoś nie wiedzie, przyniósł wody do rozrzedzenia go; potem położył przedemną lak i piasek. Ale to wszystko nic nie pomogło; pisałem, mazałem, darłem, paliłem. Niech cię kaci porwą! zawołałem nakoniec, nie mogę napisać takiego listu, i z rozpaczyci rzuciłem pióro.

Lafleur widząc mój gniew, zbliżył się do mnie z wielkiem uszanowaniem, przepraszając mnie tysiąc razy za swoją śmiałość, i oświadczył, że ma gotowy list w kieszeni, który dobosz jeden z jego pułku napisał do żony sierżanta, a który możeby mógł być użytym w obecnym przypadku.

Chcąc go wynagrodzić za dobre jego chęci, powiedziałem doń: To dobrze, pokaż mi ów list.

Tu wydobył z kieszeni brudny mały pulares, pełen papierków i słodkich biletów. Położył go na stole, rozwiązał tasiemkę, obejrzał uważnie każdy szpargał, a natrafiwszy wreszcie na wspomniany bilet. „Oto jest! zawołał z radością klaszcząc w ręce; potem go rozwinął, położył przedemną, i cofnął się o trzy kroki od stołu gdy go czytać zacząłem.

LIST.

Pani!

Przejęty jestem najżywszą boleścią i przywiedziony do rozpaczyci, przez niespodziany powrót kaprała, który nasze dzisiejsze spotkanie czyni niepodobnym.

Ale niech żyje radość! moją pociechą będzie myśleć o tobie.

Niczem jest miłość bez czucia, a czucie jeszcze *mnie* niż *niczem* bez miłości.

Powiadają, że nigdy nie należy rozpaczać. Podobno pan kaprał pociągnie we środę na wartę, wtedy ja go zastąpię.

Każdy ma swoją kolę.

Tym czasem niech żyje miłość! niech żyje wesołość!
Jestem pani

z najtkliwszém i najgłębszém uczuciem,
twój cały,

JAKÓB ROCQUE.

Potrzeba tylko było przemienić kaprała na hrabiego, o warcie we środę zamilczeć, a list z resztą nie był ani zły ani dobry. Aby więc sprawić przyjemność Lafleur'owi, który tak drżał o moją, swoją, i swego listu sławę, wyjąłem z niego miejsca, które mi się więcej podobały, ułożyłem te wyjątki po swojemu, i zapieczętowaawszy

Zaledwie uszedłem dziesięć kroków, a już zapomniałem o tém, com od niej usłyszał; obejrzałem się więc, i spostrzegłszy, że jeszcze u drzwi sklepu stoi, jak gdyby uważała czy też idę dobrze lub nie, wróciłem napowrót, chcąc się jęj zapytać czy się najprzód w lewo lub w prawo mam udać, gdyż o tém zupełnie zapomniałem.

— Czy podobna? — rzekła z pół uśmiechem.

— I nawet bardzo, — odpowiedziałem, — jeżeli kto więcej uważa na osobę, jak na rady, które mu łaskawie udzielić raczyła.

A że to, co powiedziałem było szczerą prawdą, przyjęła więc takową jako rzecz sobie przynależną, z wdzięcznym uśmiechem i grzecznym ukłonem.

— Zaczekaj pan, — rzekła kładąc swoją rękę na mojem ramieniu aby mnie zatrzymać. — Właśnie mam posłać chłopca z paczką rękawiczek w tę stronę miasta, jeżeli więc pan chwilę w sklepie zatrzymać się raczysz, to on zaraz będzie gotów i odprowadzi pana na miejsce.

I na chłopca będącego w pokoju za sklepem zawołała żeby się pospieszył.

Wszedłem z nią do sklepu, i zdjąłem z krzesła rękawki, które była położyła, w chęci spoczynienia na niem; ona zaś usiadła na niskim stolku a ja tuż przy niej.

— Będzie gotów za chwilę, — rzekła do mnie.

— A w tej chwili, odpowiedziałem, chciałbym także pani chętnie czémkolwiek okazać moją wdzięczność za jęj dobroć dla mnie. Nie ma człowieka co by przypadkiem nie uczynił czegoś, co dowodzi dobroci serca; ale ciąg tympodobnych uczynności, jest skutkiem temperamentu i charakteru. Jeżeli krew, wychodząca z serca i w członki się rozchodzi, to musisz pani, — tu ją uchwyciłem za rękę, — mieć najlepszy puls, jaki kiedykolwiek kobieta mieć może.

Położyłem kapelusz na podłodze, jedną ręką ująłem jęj palec, a drugą dotknąłem się pulsu.

O gdybyś w tej chwili przechodził, drogi Eugeniuszu, i widział mnie siedzącego w mojem czarném ubraniu i liczącego bicie pulsu z tak natężoną uwagą, jak gdybym śledził wzmaganie się lub zmniejszenie gorączki, jakżebyś się naśmiał, a może i moralizował nad mojem nowém zatrudnieniem. Śmiać się i rozprawać pozwoliłbym ci do woli. Wierz mi kochany Eugeniuszu, byłbym ci odpowiedział: są w świecie jeszcze gorsze zabawy, jak dotykanie się pulsu kobiety! — Ależ pulsu gryzетки? — byłbyś odrzekł, — i to jeszcze w otwartym sklepie, o! Joryku, Joryku!

Tém lepiej, bo jeżeli zamiary nasze są czyste, nie wiele dbam oto, chociażby cały świat widział mnie dotykającego się pulsu kobiety.

MAŻ.

Ze dwadzieścia już uderzeń pulsu naliczyłem, i byłem właśnie blisko trzydziestego, gdy maż jęj niespodzianie nadszedł i nieco mi rachubę pomieszał.

— To nic nie szkodzi, to mój maż, — rzekła, — a ja na nowo liczyć zacząłem.

— Ten pan, — powiedziała do niego gdy koło nas przechodził, — ten pan jest tak grzeczny, że mojego pulsu chce doświadczyć.

Maż przez wdzięczność zdjął kapelusz, ukłonił mi się i powiedział że mu wiele robię zaszczytu; nakrył potém głowę i wyszedł.

— O nieba! pomyślałem sobie po jego odejściu, czy to być może, aby ten człowiek był jęj mężem?

Większa część ludzi zna dobrze powód tego podziwienia mojego, i ci zapewne za złe mi nie wezmą jeżeli go tym wyłożę, dla których jest on jeszcze nieznanym.

W Londynie kupiec i żona jego jedno ciało stanowią, z rozmaitych przymiotów ciała i duszy, jedne ona, a drugie on posiada, tak że w ogóle powiedzieć można, iż są sobie tak równi i starają się tak we wszystkiém zgadzić, jak to tylko maż i żona czynić powinni.

W Paryżu inaczej się dzieje: tam maż i żona dwie najwięcej różniące się od siebie istoty stanowią; a że władza prawodawcza i wykonawcza w sklepie nie spoczywa w rękę męża, rzadko więc w nim widzieć go można; siedzi on zwykle w ciemnej, szkaradnej izbie obok sklepu, z wełnianą szlafmycą na głowie, nieokrzesany, surowy zawsze, jakim go przyroda z rąk swoich wypuściła.

Ponieważ geniusz narodu w którym kobiety tylko od rządów państwem są usunięte, ten wydział z kilkoma jeszcze innymi zupełnie oddał w ręce kobiet, te przeto przez ciągłe stosunki z osobami różnych stanów i godności od rana do wieczora i przyjacielskie z niemi obcowanie, wygładziły się i swoją chropowatość utraciły, podobnie jak kamienie, które skutkiem długiego tarcia się w jednym worku, nietylko stają się okrągłemi i gładkiemi, ale nadto niektóre z nich blasku brylantu nabierają. Pan maż nie wiele więcej wart od kamienia pod nogami.

Niezaprzeczoną jest rzeczą, że bardzo źle człowiekowi być samemu, stworzony on bowiem do towarzyskiego i przyjacielskiego życia, a za dowód tego niech ci posłuży uszlachetnienie nasze, którego przez to nabywamy.

— Jakżeż pan znajdujesz mój puls? — zapytała.

— Jest tak wolny i spokojny, — odpowiedziałem patrząc jęj w oczy, — jak się tego spodziewałem.

Miała mi właśnie jakąś grzeczność nawzajem powiedzieć, ale przybycie do sklepu chłopca z rękawiczkami stanęło jęj na przeszkodzie.

— Ale, ale, — rzekłem, — i ja rękawiczek potrzebuję.

RĘKAWICZKI.

Piękna kupcowa wstała natychmiast, poszła za szafę dobrać z szafy pakiet i rozwiązała go. Stała przede mną przeciwko niej; wszystkie rękawiczki były dla mnie za wielkie, jedną za drugą do ręki mi przymierzała, jednakże



Podalem rękę pani de Rambouillet.

nastęcza mi do tego sposobność." Pobiegłem więc za nią, prosiłem o przebaczenie za tę nieprzyjemność której byłem przyczyną, zapewniając że moim zamiarem było ustąpić jej miejsca. Margrabina również oświadczyła, że to samo dla mnie uczynić chciała; podziękowaliśmy więc sobie nawzajem. Stanęliśmy właśnie przed samymi schodami, a nie widząc przy niej nikogo, prosiłem o pozwolenie odprowadzenia jej do powozu. Schodziliśmy więc po schodach z wolna, i co trzeci stopień, zatrzymywaliśmy się rozmawiając o koncercie i naszej przygodzie.

— Prawdziwie, łaskawa pani,— rzekłem wsadziwszy ją do powozu,— sześć razy chciałem zrobić pani miejsce.

— I ja również chciałam zrobić to samo dla pana,— odpowiedziała.

— Życzylbym sobie bardzo, abyś to pani teraz po raz siódmy zrobić chciała,— odrzekłem na to.

— Najchętniej,— odpowiedziała,— robiąc mi miejsce w powozie.

Zycie jest zbyt krótkie aby czas tracić na długich formalnościach; wsiałem więc natychmiast i pojechałem do jej mieszkania. A co się stało z koncertem? Ci co na nim byli lepiej odemnie powiedzieć mogą.

To tylko dodać muszę, że znajomość będąca skutkiem takiego tłumaczenia, więcej daleko sprawiła mi przyjemności, aniżeli wszelka inna którą zabrać miałem szczęście we Włoszech.

KARZEŁ.

Nigdy jeszcze nie słyszałem, ażeby kto, wyjąwszy jedną osobę o której wspomnę, zrobił to spostrzeżenie, jakie zrobiłem rzuciwszy okiem na parter i które mnie uderzyło tém mocniej, że nie pamiętałem nawet iżby je kiedy czyniono; była to niepojęta igraszka natury w tworzeniu tak wielkiej liczby karłów. Wprawdzie ona na każdym zakątku ziemi igra sobie z ludźmi, ale w Paryżu zabawie tej nie kładzie granicy. Ta mądra bogini przedstawia się zarówno dobrą i żartobliwą.

Byłem na operze komicznej, lecz moje myśli wybiegły dalej i bujały po ulicach jakbym się sam na nich znajdował. Mierzyłem oczyma, przypatrywałem się wszystkim, kogo tylko spotkałem. Smutne to było zajęcie, zwłaszcza ujrawszy ludzi małego wzrostu, cery nadzwyczaj śniadej, z okiem jaskrawem, nosem długim, zębami białymi, szpiczastą brodą. Przykro było widzieć tylu nieszczęśliwych, którzy przez nieszczęsny przypadek wyrzuceni z własnej klasy, wtrąceni zostali do innej. Jedni w pięćdziesięciu latach wydawali się z postaci jak dzieci; inni byli, kulawi, garbaci, z krzywymi nogami. Ci ręką przyrody w szóstym, lub siódmym roku we wzroście zostali wstrzymani; tamci podobni do karłowatych jabłoni, już od początku dają widzieć że nigdy wyżej nie urosną.

Lekarz podróżujący powiedziałby zapewne, że to pochodzi ze złego i niewłaściwego powijania dzieci. Lekarz śledziennik, przypisałby to niedostatkowi czystego powietrza; a ciekawy podróżny, na poparcie tego zdania zapewneby zmierzył wysokość domów, szerokość ulic i obliczył ile stóp kwadratowych zajmują na szóstym lub siódmym piętrze biedacy, którzy jedzą i śpią razem. Pan Shandy, będący we wszystkiem wcale innego zdania jak drudzy rozprawiający w jego obecności o tym przedmiocie, utrzymywał, że i dzieci podobnie jak i inne zwierzęta, można doprowadzić do pożądaney wysokości wzrostu, jeżeli tylko bez przypadku na świat przyjdą; lecz na nieszczęście liczni mieszkańcy Paryża, tak cia-

sno mieszkać muszą, że nawet nie mają dosyć miejsca do wygodnego połogu. Tak więc, cóż oni rodzą, oto karzełki, bo jakże inaczej nazwać istotę, która po dwudziestu, lub dwudziestu pięciu latach troskliwego pielęgnowania i najposilniejszych pokarmów, nie urosła wyżej mojej nogi. A że pan Shandy sam był małego wzrostu nie można było nad to więcej powiedzieć.

Gdy to moje dzieło nie jest dziełem spostrzeżeń, po-przeistanę więc tylko na wierności rozumowania, które każdego czasu i na każdej ulicy Paryża sprawdzić można.

Pewnego razu, przechadzając się na ulicy prowadzącej z Karuzelu do Palais Royal, spostrzegłem małego chłopczynę, któremu ciężko było przestąpić rynsztok; podałem mu tedy rękę i pomogłem mu przeskoczyć. Jakżem się zdziwił, gdy spojrzawszy potem na niego przekonałem się, że to był człowiek mający najmniej lat czterdzieści. „Nic nie szkodzi, pomyślałem sobie; poczciwa jaka dusza to samo dla mnie uczyni gdy będę miał lat dziewięćdziesiąt.”

Trzymam się stale pewnych zasad, które mnie skłaniają do litości dla tych ułomnych istot co nie są ani dość wielkie, ani nie mają siły, ani wzrostu do posuwania się i znaczenia w świecie. Nie lubię więc każdego, ktokolwiek je upokarza. Zaledwie obok staruszka oficera usiadłem, nieprzewidziany wypadek który miał miejsce pod naszą łożą, wielką mi sprawił nieprzyjemność.

Pomiędzy orkiestrą a boczną łożą, znajduje się mała przesterzeń, w której kiedy teatr jest przepelniony, widzowie muszą się mieścić. Trzeba tam stać chociaż tyle się płaci co za miejsce w orkiestrze. Jedno z tych biednych stworzeń, o którym przed chwilą mówiłem, wcisnęło się w ów niewygodny zakątek; w koło niego stali ludzie najmniej o półtrzeciej stopy wyżsi od niego, i biedny garbaty karzeł cierpiał niewypowiedzianie; szczególnie trafił go barczysty, olbrzymiego wzrostu Niemiec, który wprost przed nim stał w ten sposób, że karzeł ani sceny, ani aktorów grających widzieć nie mógł. Biedny karzeł wszystkich dokładał usiłowań, aby cokolwiek dojrzyć co się na scenie działo, starając się korzystać z małej szparki między rękoma a ciałem Niemca; czatował, to z tej, to z owej strony. Ale wszystko na nic się nie przydało, bo Niemiec stał jak wał szeroko przed nim rozparty, tak, że karzeł zupełnie był jak w studni. Zniecierpliwiony wreszcie, pociągnął grzebień Niemca za rękaw i przedstawił mu swoją przykrość. Niemiec zwrócił głowę, spojrział z góry na niego, jak Goliat na Dawida i niewzruszenie pozostał w pierwsem swojej postawie.

Nie mogąc znieść tego widoku, zażyłem z małej rogowej tabakierki.

— Ah dobry ojczy Wawrzyńcze! rzekłem sam do siebie, jakżeż twoje serce tklive i czułe, z widokiem cierpienia i boleści już oswojone, jakżeż chętnie byłoby wysłuchało żalów tego biedaka!

Stary officer, widząc mój wzrok wzruszony gdym uczynił to wykrzyknienie, zapytał mnie uprzejmie, co mi się stało? Całą rzecz opowiedziałem mu w trzech słowach, wynurzając moje oburzenie na tę nieludzkość.

Tymczasem karzeł przywiedziony do ostateczności w pierwszym uniesieniu gniewu, zwykle nierozsądnym zagroził Niemcowi, że mu utnie jego długi harc. Niemiec z zimną krwią spojrział na niego i rzekł, że pozwala mu to uczynić, byleby tylko mógł dosięgnąć.

Oh! jeżeli do krzywdy łączy się jeszcze obelga, każdy mający czułość ujmie się wtedy za obrażonym. Gotów byłem skoczyć z łoża na dół, by nieść pomoc uciesnio-

nemu. Stary officer zniósł to z większą odemnie spokojnością. Wyrzwał z łoży, skinieniem przywołał żołnierza z warty i ukazał palcem miejsce sprzeczki. Żołnierz się tam precisnął. Nie potrzeba było żadnego tłumaczenia, rzecz była widoczna i przemawiająca za karlem. Żołnierz więc cofnął w tył Niemca, a karła umieścił przed nim.

— To doskonale! zawołałem, klasnąwszy w ręce.

— Nie cierpielibyscie nic podobnego w Anglii, — rzekł stary officer.

— W Anglii, mój panie, — odparłem, — wszyscy wygodnie siedziny.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa chciał mi powiedzieć grzeczność, „o to koncept”.

Spojrzałem nań i spostrzegłem, że dowcip ma zawsze wartość w Paryżu. Poczęstował mnie swoją tabaką.

— Każdy naród, mówił dalej, ma swoje delikatności i grubiaństwa. Wiele zwidziłem krajów, ale żadnego nie poznałem, któryby nie posiadał w jakimś względzie wyższości nad drugimi. Każdy naród ma coś *za* i *przeciw* sobie; wszędzie zle i dobre z sobą się równoważą i znajomość jedynie tej zasady, uwolnić może jedną połowę świata od owego uprzedzenia, jakie sobie do drugiej utworzyła. Podróżny osiąga wielką korzyść z widzenia ludzi i ich obyczajów, bo przez to uczy się jak żyć na świecie. A powiedziawszy to, grzecznie mi się uklonił i wyszedł.

Pokochałem się prawie w tym człowieku; obawiam się tylko, zwieść względem przedmiotu. Opisał mi bowiem zwykły mój sposób myślenia; z tą wszakże różnicą, że go tak dobrze oddać słowami nigdy nie byłbym w stanie.

Nie ma nic nieprzyjemniejszego dla jeźdźcy, jak siedzieć na koniu, który strzyże uszami i w bok się rzuca za każdą spostrzeżoną na drodze rzeczą. Mało mnie to wprawdzie obchodzi, lubo szczerze wyznac winienem, że nie jedno słowo, które w pierwszym miesiącu pobytu mego w Paryżu, nieraz uszy moje razilo, i rumieńcem twarz moją oblało, później zdawało mi się nic nieznaczącym i zupełnie niewinnym.

Pani *Rambouillet* po sześciotygodniowej znajomości, zrobiła mi ten zaszczyt, że mnie w swoim powozie na wieś, o dwie mile od Paryża odległą z sobą zabrała. Nie znałem więc uprzejmiej, cnotliwszej, skromniejszej nad nią kobiety. W powrocie prosiła, abym pociągnął za sznurek.

— Czy pani sobie czego życzysz? zapytałem.

— Na chwilkę muszę koniecznie wysiąść z powozu, — odpowiedziała mi pani de *Rambouillet*.

O mój miły czytelniku w podobnej, zwłoki niecierpiącej okoliczności bądź zawsze wyrozumiałym i niech cię to wcale nie zadziwia, że i ja mając to na uwadze, spieszenie wysiadłem pierwszy z powozu i następnie z całą powagą, na jaką tylko zdobyć się mogłem, podałem rękę pani de *Rambouillet*, której tak nagląca potrzeba sprawić musiała małą przerwę w naszej podróży.

POKOJÓWKA.

Uwagi starego officera nad korzyściami z podróży, przywoływały mi na myśl przestrożę, którą *Poloniusz* daje swojemu synowi w tymże samym przedmiocie; ta naprowadziła mnie na *Hamleta*, a *Hamlet* na resztę dzieł Szekspira. W powrocie więc do domu, zatrzymałem się na wybrzeżu *Conti*, aby jego dzieła nabyć.

Księgarz mi oświadczył, iż zupełnego zbioru tych dzieł nie ma. — Jaktó! zawołałem, chwytając ze stołu jeden egzemplarz. Nie jest on moją własnością, odpowiedział

księgarz; hrabia de *Bussy* przysłał mi go z *Wersalu* do oprawy.

— To hrabia de *B.* czytuje dzieła Szekspira? rzekłem.

— O! dzielna to głowa, odpowiedział księgarz. Lubi on zarówno angielskie książki jak i samych Anglików.

— Prawdziwie, wyrzekłeś to pan w sposób tak ujmujący, że niepodobna Anglikowi, opuścić pana, nie zostawiawszy w sklepie kilku *luidorów*.

Księgarz nisko się uklonił i właśnie miał mi coś powiedzieć, ale w tejże samej chwili młoda dziewczyna, bo zaledwie lat dwadzieścia liczyć mogąca, zgrabna, która sądząc po jej ubraniu i powierzchowności, musiała być pokojówką u jakiejś modnej dewotki, weszła do sklepu i zażądała: *Obłakania serca i rozumu* (*Les Egarements du coeur et de l'esprit*); księgarz dał jej to dzieło natychmiast. Ona dobywszy małej sakiewki z zielonego atlasu, włożyła w nią dwa drobne paluszki, wyjęła pieniądze i zapłaciła. Ponieważ mnie nic w sklepie nie zatrzymało, wyszedłem więc zaraz za nią.

— Piękne dziewczę, rzekłem, co będziesz robiła z *Obłakaniem serca*? wszakże ty zaledwie wiesz, że masz serce. Dopóki bowiem miłość o niem cię nie ostrzeże, lub niewdzięczny kochanek go nie zrani, zostaniesz pod tym względem w zupełnej niewiadomości.

— Niech mnie Bóg od tego zachowa, odpowiedziało dziewczę.

— Tak, masz słusność, mówiłem dalej; bo jeżeli twoje serduszko jest dobre, to by szkoda było go wykraść. Jest ono dla ciebie wielkim skarbem i lepiej cię stroi jak perły.

Młoda dziewczyna słuchała mnie z uwagą, trzymając ciągle swój woreczek za wstążeczkę.

— Bardzo lekki, rzekłem chwytając go znienacka. Ona najmniejszego nie uczyniła oporu. — Nie ma w nim wiele moje serce, dodałem, — ale jeśliś tak dobra jak ładna, to samo niebo ci go napełni.

Miałem właśnie w ręku kilka talarów przeznaczonych na zakupienie dzieł Szekspira, a że ta dziewczyna woreczek swój zupełnie mi powierzyła, włożyłem więc weń jednego talara, zawiązałem go wstążeczką i oddałem.

Dziewczyna podziękowała mi pokornym ukłonem; był to jeden z tych cichych, wdzięcznych ukłonów, w których więcej serce niż ciało ma udziału. Żadnej dziewczynie nie dałem talara z większą przyjemnością.

— Moje dobre życzenie, bez tego upominku, rzekłem, do niczego byłoby ci nie posłużyło; ile razy spojrzysz na ten pieniądz, zawsze sobie przypomnij moją przestrożę; nie wydaj go na wstążki.

— Zapewniam pana, że go zachowam — i jakby na dowód tego, podała mi rękę, mówiąc: — doprawdy panie, że go zachowam.

— Jest to mała danina, którą składam cnocie, rzekłem — i nie chciałbym doznać zawodu od osoby, której hołd złożyłem. Lecz niewinność, moje serce, maluje się na twarzy. Biada chcącemu zastawić jej siła.

Zdawała się być nieco zmieszana, tém co słyszała, a w końcu głębokie wydała westchnienie. Nie czując się być upoważnionym do badania przyczyny tego westchnienia, nie rzekłem ani słowa więcej i w milczeniu przyszliśmy aż na róg ulicy *Nevers*, który miał być punktem naszego rozstania się.

— Czy tędy droga, moje serce, do hotelu *Modeńskiego*? zapytałem. — Tędy, odpowiedziała, ale można dojść także przez ulicę *Guénégaud*, chociaż to nieco jest dalej.

— A więc dobrze rzekłem; pójdę przez ulicę *Guénégaud* z dwóch przyczyn, raz, że mi to zrobi przyjemność, a po wtóre, że będę ci dłużej towarzyszył. — Wistocie, rzekła, życzyłabym sobie aby ten hotel znajdował się na ulicy

des Saints-Pères. — Zapewne na tej ulicy mieszkaś? — pytałem. — Tak panie, jestem pokojówką pani R.

— Przebóg! zawołałem, to ta sama, do której z Amiens list przywoziłem.

Pokojówka zapewniła mnie, że pani R., istotnie oczekuje cudzoziemca z listem, i bardzo go pragnie widzieć. Prosiłem więc dziewczynę, aby swojej pani złożyła moje uszanowanie i powiedziała, że nazajutrz przed południem będę miał szczęście ją odwiedzić.

Cała ta nasza rozmowa miała miejsce na rogu ulicy de Nevers. Zatrzymaliśmy się tam na chwilę, gdyż młode dziewczę dwa tomy kupionego dzieła chciała do kieszeni schować, bo jej niezręcznie nieść było. Wziąłem więc jeden, a ona tymczasem drugi tom do kieszeni chowała; następnie podała mi kieszeń otwartą, w którą i ten drugi włożyłem.

Jak miłego wtedy doznajemy uczucia, gdy nieznacznymi niemi nasze skłonności z sobą się wiążą!

Puściliśmy się w dalszą drogę, a uszedłszy kilka kroków dziewczyna wzięła mnie pod rękę. Chciałem jej właśnie ją podać, lecz ona moje chęci uprzedziła z tą niezastanawiającą się prostotą serca, która najlepszym była dowodem, że nawet nie pomyślała o tém, iż mnie pierwszy raz widzi. Ja zaś mocno byłem przekonany, że jakieś pokrewieństwo pomiędzy nami istnieć musi; aby tém więcej utwierdzić się w przekonaniu, spojrzałem w jej twarz, chcąc w niej jaki ślad podobieństwa rodzinnego odkryć. — Alboż to nie wszyscy jesteśmy z sobą spokrewnieni? rzekłem do siebie.

Doszedłszy rogu ulicy Guénégaud, zatrzymałem się by ją ostatecznie pożegnać. Po dwakroć dziękowała mi za moją grzeczność i za towarzystwo; i przykro nam jakoś było się rozłączać. Rozłączenie to zapieczętowałem pocałowaniem miłości bliźniego.

PASZPORT.

Za powrotem do hotelu, dowiedziałem się od Lafleur'a, że się dopytywano o mnie od ministra policyi.

Do diabła! zawołałem, wiem o co im chodzi.

Czas także, abym i czytelnika o tém uprzedził. Opuściłem tę część mojej powieści, tam gdzie właściwe dla niej było miejsce, nie przez zapomnienie, lecz dla tego, że tu ją umieścić było mi wygodniej.

Z takim śpieszkiem i tak niespodzianie opuściłem Londyn, że mi nawet przez myśl nie przeszło, że Anglia prowadzi wojnę z Francją. Przybyłem do Duwru: spoglądałem przez daleko-widz na wzgórze za Boulogne, a jeszcze mi ani wojna, ani to, że bez paszportu nie będę mógł dostać się do Francji, na myśl nie przyszło. Pójść tylko na środek ulicy, i widzieć się zmuszonym powrócić nie dopiawszy swojego celu, jest dość dla mnie przykrą rzeczą. Rozpoczęta podróż, była największym wysiłkiem, jakie kiedykolwiek uczyniłem w celu nabycia wiadomości, nie mogłem przeto żadnym sposobem przenieść tej myśli, abym do Londynu z niczém powrócił. Powiedziano mi przytém, że hrabia de... najął cały statek przewozowy, a że mu byłem osobiście znany, prosiłem go więc, aby mnie z sobą zabrał. Hrabia chętnie przychylił się do mojej prośby; uprzedził mnie tylko, że jego chęć stania się dla mnie użytecznym, nie może dalej się rozciągać jak do Calais, gdyż na Bruxellę do Paryża wraca; że będąc już w Calais, nie trudno mi będzie dostać się do Paryża, gdzie muszę poszukać sobie przyjaciół dla zaradzenia swemu bezpieczeństwu.

— Panie hrabio, odpowiedziałem, — niechno tylko przybędę do Paryża, potrafię sobie dać radę. Wsiadłem więc z nim na statek i zapomniałem o wszystkim.

Lecz gdy Lafleur, powiedział że się o mnie dowiadzano z policyi, cała rzecz się mi zaraz przypomniała.

Po chwili i gospodarz domu przyszedł do mnie z tém samém oznajmieniem dodając jeszcze, że głównie mego paszportu żądano. — Nie wątpię przecież, dodał w końcu, że go pan mieć musisz. — Na honor, nie mam żadnego, odpowiedziałem.

— Pan nie masz paszportu! — zawołał i trzy kroki w tył odskoczył, jakby od zapowietrzonego. Lafleur przeciwnie, o trzy kroki do mnie się przybliżył, z takim poruszeniem, z jakim pocziwy człowiek spieszy na pomoc zagrożonemu niebezpieczeństwem, przez co pozyskał całe moje serce. Ten czyn dał mi poznać całą jego wartość, i w skutek tego powziąłem także ku niemu zaufanie, że w każdym razie spuściłbym się zupełnie na niego, jakby na sługę, któryby najwierniej i najgorliwiej od dawnego czasu u mnie służył.

— Milordzie! zawołał gospodarz... Lecz poprawiając się zaraz, zmienił ton mowy; — jeżeli pan, mówił dalej, nie ma paszportu, to zapewne musi tu mieć przyjaciół w Paryżu, którzy się o niego wystarać mogą. — Nie znam tu nikogo wcale, obojętnie odpowiedziałem. — W takim razie możesz się pan dostać do Bastylli, rzekł, lub przynajmniej do Chatelet. — O! nie lękam się tego: król francuzki jest pełen dobroci i nie da on nikomu krzywdy zrobić.

— Prawdę pan mówisz, ale to jednak nie przeszkodzi, aby pana jutro rano nie mieli zaprowadzić do Bastylli.

— Ależ ja przecie nająłem u pana mieszkanie na cały miesiąc, odpowiedziałem, — a przed upływem tego czasu opuścić go wcale nie myślę, wszyscy francuzcy królowie, zmusić mnie do tego nie potrafią.

Lafleur szepnął mi do ucha: — panie królowi, nikt się opierać nie może.

— Do kata! rzekł gospodarz; — ci panowie Anglicy są to szczególni ludzie. A powiedziawszy to, mrużąc wyszedł.

HOTEL W PARYŻU.

Nie byłbym tak lekko ten przedmiot traktował z gospodarzem, ani im téż pokazywał mojej pewności siebie, gdybym chciał zasmucić pocziwego Lafleur'a. Starałem się nawet być zupełnie wesołym, a przy kolacyi rozmawiałem z nim o innych zupełnie rzeczach. Paryż i opera komiczna, były dla mnie niewyczerpaném źródłem rozmowy. Lafleur znajdował się także na przedstawieniu, o czém wcale nie wiedziałem, i szedł za mną aż do księgarni; lecz ujrawszy mnie wychodzącego ze sklepu z młodą dziewczyną i idącego z nią wybrzeżem, osądził zbytecznym dalej iść za mną i pomyślawszy trochę, udał się krótszą drogą do hotelu, gdzie usłyszał całą rzecz z policyi o mojem przybyciu do Paryża.

Skoro pocziwy chłopiec, sprzątnął ze stołu i sam poszedł na dół wieszczać, uważnie zastanawiać się zacząłem nad mojem położeniem.

— Tutaj, mój drogi Eugeniuszu! śmiać się będziesz, przypomniawszy sobie ową krótką rozmowę, którąśmy mieli przed samym moim odjazdem, a którą przytoczyć tu muszę.

Eugeniusz wiedząc, że zarówno w pieniądze, jak i w rozwałę nie jestem bogaty, wziął mnie na stronę, i zapytał ile z sobą biorę? Odpowiedziałem mu na to pokazaniem kieski: Eugeniusz potrząsł głową i oświadczył że to mi nie wystarczy; poczem dobył swojej chęć z nię do mojej pieniądze przesypać.

— Ale bądź spokojny Eugeniuszu, powiadam ci że to mi wystarczy, — rzekłem.

— A ja cię upewniam Joryku, że to ci nie wystarczy; znam ja lepiej od ciebie Francją i Włochy — odparł Eugeniusz. — Być może, rzekłem, nie przyjmując jego daru, — ale zważ na to, że może po trzech dniach mojego pobytu w Paryżu, coś takiego powiem, lub zrobię, że w na-

grodę tego zaproszą mnie do Bastylli i przez kilka miesięcy na koszczie królewskim żyć będę.

— O! daruj mi, — odpowiedział sucho Eugeniusz, — o tém źródle zupełnie zapomniałem.

Przypadek z którego wówczas żartowałem, blizkim był sprawdzenia.

Lecz bądź to z pustoty, obojętności, filozofii, uporu lub też nie wiem z jakiej przyczyny, dość że wtedy, kiedy sam zostałem, inaczej o tém myśleć nie mogłem, tylko tak, jak dawniej z przyjacielem moim o tém rozmawiałem.

Bastylla! I cóż ona mnie obchodzi? Cała jej okropność dla mnie leży tylko w słowie. Niech sobie co chcą o niej mówią, słowo to nic więcej nie znaczy, prócz wieży, a wieża wyobraża mi dom, z którego wyjść nie można. Oby niebo ulitowało się nad cierpiącemi pedogre! Oni bowiem dwa razy do roku, znajdując się w tym samym przypadku, z dziewięcioma frankami na dzień, mając przytém pióra, papier, atrament i cierpliwość, można nie wychodzić przez miesiąc lub sześć tygodni. A gdy po upływie zakreślonego terminu, okaże się jego niewinność, to wyjdzie ztamtąd lepszym i mędrszym niż kiedy wchodził.

Przejęty ważnością tych uwag, dumny z moich pomysłów i spostrzeżeń, wyszedłem na podwórze.

— Nie cierpię tego ciemnego pędzla! — zawołałem wesoło; nie zazdroszczę bowiem smutnej sztuki malowania cierpień życia tak posępniemi farbami. Umysł się trwoży na widok tych ponurych obrazów, które sam utworzył; przywróć im ich własną postać i barwę, a nawet na nie zważać nie będziesz. Wprawdzie, mówiłem dalej, zdanie moje nieco łagodząc. Bastylla jest złém, ale nie bez pewnych korzyści. Odbierzmy jej tylko te wieże, zrównajmy fossy, pootwierajmy bramy, nazwijmy ją przymuszonym schronieniem, przypuśćmy że choroba, a nie wola człowieka nas w niej uwięzionych trzyma, wówczas całe zle zniknie, a resztę człowiek bez skargi przeniesie.

Zapał tego monologu, przerwany został krzykiem jakby dziecięcia, żalącego się, że wyjść nie może. Zajrzałem do bramy, lecz nie spostrzegłszy nikogo, nie zważałem więcej na to i wróciłem na podwórze.

Lecz zaledwem znowu kilka zrobił kroków, usłyszałem te słowa dwakroć powtórzone, i spojrzawszy w górę teraz dopiero spostrzegłem, że je wymawiał kos zamknięty w małej klatce. *Nie mogę wyjść*, biedny kos wołał. Stałem i przypatrywałem się temu ptakowi, który każdemu z przechodzących, powtarzał swoje żale.

— O pomocę ci! zawołałem — bądź co bądź wyswobodzę cię z tej niewoli. Drzwiczki klatki, były od muru i to tak mocno drutem okręcone, że niepodobna było otworzyć nie popsuwszy klatki. Użyłem wkońcu obu rąk.

Ptak podlatywał ku miejscu, gdzie mu otwór zrobić chciałem, wysunął główkę przez prątki i przycisnął się do nich piersiemi, jakby oczekiwał chwili uwolnienia.

— Lękam się biedny ptaku, rzekłem — że cię podobno uwolnić nie będę w stanie. *Nie* — odpowiedział kos, *nie mogę wyjść, nie mogę wyjść.*

Nigdy nie doznałem w sobie rzewniejszego uczucia liłości; nigdy żaden przypadek w życiu nie zebrał tak prędko myśli moich rozproszonych słabem rozumowaniem. Jakkolwiek wyrazy kosa wymawiane były tylko mechanicznie, tyle jednakże zgadzały się z tonem natury, że w jednej chwili zburzyły całą systematyczną budowę mojego rozumowania o Bastylli; wchodziłem przeto na schody zupełnie z innymi myślami niż były te, kiedym z nich schodził.

UWIEZIONY.

Smutne kwilenie kosa przywiodło mi na myśl żale Jeremiasza. Usiadłem przy stole, a wsparłszy głowę na

dłoni, zacząłem sobie wystawiać w prawdziwych obrazach niedolę więźnia. Usposobienie umysłu, w jakim się natenczas znajdowałem wielce temu rozmyślaniu sprzyjało. Oczami duszy widziałem Bastyllę, a w jednym z podziemnych lochów uwięzionego.

Rzucona w kącie garść słomy, służyła mu za łożo i krzesło zarazem. Na wybladłej jego wynędzniałej twarzy malowało się cierpienie, świadczące o jego długim tu pobycie, bez nadziei ujrzenia słońca, odetchnienia czystym, wolniejszym powietrzem; mały kalendarzyk z drobnych patyczków trzymał w ręku, na których znać wszystkie okropne dni i nocy które tu przepędził. Taki patyczek trzymał właśnie w ręku i zardzewiałym gwoździem znowu jeden karb naznaczał, przydając upłyniony dzień nędzy do minionych. A że mu zasłaniałem to niewiele, które miał światła, podniósł więc ku drzwiom oczy przyćmione rozpaczą, spuścił je potem smutnie w ziemię i kończył swoją nieszczęsną robotę. Ponury brzęk kajdan obił się o sklepienie więzienia i jak miecz przeszył duszę nieszczęśliwego, biedny westchnął głęboko... Łzy mi się rzuciły strumieniem. Nie mogłem dłużej znieść tego obrazu niewoli, który wyobraźnia moja utworzyła; zerwałem się nagle z krzesła, przywołałem Lafleur'a i kazałem mu zamówić powóz dla mnie na dziewiątą godzinę z rana.

— Pojadę wprost do księcia de Choiseul, aby się mu oświadczyć przedstawić, rzekłem sam do siebie.

Lafleur chciał mi pomódz do rozebrania się, gdy pomyślałem o spoczynku, lecz znając jego ku mnie przywiązanie, niechciałem aby widział twarz moją posępną; uwolniłem go od tej posługi, mówiąc że sam się rozbiorę; przy czém zaleciłem mu udać się na spoczynek.

DROGA DO WERSALU.

Wsiadłem do powozu o naznaczonej godzinie. Lafleur usiadł z tyłu, a woźnicy rozkazałem pędzić do Wersalu.

Na tej drodze nic mi się nie przedstawiło godnym uwagi i opisu. Miejsce więc to zapełnię krótkim rysem życia kosa, któremu poświęciłem ostatnie rozdziały.

Pewnego dnia lord L. oczekiwał w Duwrze pomyślnego wiatru by odpłynąć do Calais. Jego sługa, także Anglik, schwytał tego ptaka pośród skał nadbrzeża, nim jeszcze dobrze latać umiał. Schował go w zanadrze, przyniósł z sobą na pokład okrętu, karmił go, nieszczęśliwy dla niego wszelkich starań i szczęśliwie przywiózł do Paryża.

Zaraz po swoim przybyciu, kupił dla kosa klatkę za dwa franki. A przez ciąg pięciomiesięcznego pobytu swego pana w tém mieście, nie mając nic lepszego do czynienia, nauczył go tych kilku słów w swoim ojczystym języku, (ale też i nie więcej), za które mu jestem wdzięcznym.

Wyjeżdżając z panem do Włoch, ów chłopak oddał kosa z klatką gospodarzowi hotelu. Lecz że biedna ptaszyna opiewała wolność w języku nieznanym dla Paryżan, nie miała więc wiele wartości u gospodarza, od którego Lafleur i ptaka i klatkę za butelkę wina nabył.

Za powrotem moim z Włoch zabrałem kosa z sobą do rodzinnego kraju. Opowiedziałem jego historię lordowi A, który mnie prosił o niego; ofiarowałem mu go chętnie. Po upływie dwóch tygodni lord A, odstąpił go lordowi B; lord B, ofiarował go lordowi C; a sługa lorda C, sprzedał go za szylinga lordowi D; lord D, dał go lordowi E i tak dalej. Tym więc sposobem mój kos pół abecadła przeszedł. Z izby parów dostał się do izby niższej i przeszedł przez ręce wielu panów; ale że ci wszyscy chcieli *wejść*, a ptak zaś przeciwnie *wyjść*, z tego

więc powodu, tak mało był ceniony w Londynie jak i w Paryżu.

Wielu z moich czytelników, musiało słyszeć o tym ptaku, a jeżeliby go który przypadkiem zobaczył, proszę sobie przypomnieć, iż on niegdyś do mnie należał.

Nie mam już nic więcej do nadmienienia, jak tylko to jeszcze, że od owego czasu tego biednego kosa na hełmie herbu mojego za ozdobę noszę.

Niech mu heraldyce kark skręca, jeżeli do tego dość mają odwagi.

PRZEMOWA.

Kiedy mam prosić kogo o pomoc, nie radbym wtedy żeby mój nieprzyjaciel widział stan mego umysłu. Z tego to właśnie powodu, staram się o ile możności protegować sam siebie. Te wszakże odwiedziny moje u księcia Choiseul były wywołane koniecznością; gdyby nie to, byłbym je wtedy odbył w ten sposób jak i każdy inny.

Ileż to nikczemnych, pochlebnych przemów służebne moje serce nie układało sobie podczas tej drogi. Za każdą z nich zasłużyłem na Bastylie.

Na widok Wersalu nie myślałem o niczym innym, jak tylko o doborze słów i różnych sposobów mówienia, o postawie ciała i dźwięku głosu, któremi by najłatwiej pozyskać względy księcia Choiseul. — To mi dobrze interes poprowadzi; o tak, równie się mu to podoba, jak suknia uszyta dlań bez miary przez jakiego krawca. Głupcze, mówiłem znowu, spojrzysz przecież najprzód w oczy panu de Choiseul, staraj się poznać z jego twarzy i całej postawy, co się dzieje w jego duszy. Co zaś do głosu, to pierwszy dźwięk wyrazu, który z ust jego wyjdzie, wskaże ci go dostatecznie. Z tego wszystkiego będziesz sobie mógł na miejscu już ułożyć przemowę, która księciu nieprzyjemną być nie może, bo żywiły ją składające, będą jego własne i do smaku mu przypadną.

— No dobrze, rzekłem, — alebym jednak wolał, żeby to już było po odwiedzinach.

— Tchorzu! Ilałem się za to; czyż wszyscy ludzie nie są sobie równi w obliczu Boga i przyrody? Jeżeli więc jestem mu równy na wolnym powietrzu, dla czegożbym takim i w gabinecie jego, oko w oko być nie miał? Wierzę mi, Joryku, człowiek nienatchniony tą szlachetną pewnością, ubliża samemu sobie, poniża się w swojej godności i dziesięćkroć zawodzi własne środki pomocy na jednym razie gdzie mu ich natura odmawia. Przedstaw się księciu z obawą Bastyli w oczach, a możesz być pewny, że za pół godziny zostaniesz pod dobrą strażą do Paryża odesłany.

— I mnie się tak zdaje, rzekłem do siebie. A więc pójdę do księcia z wypogodzonym czołem i największą pewnością samego siebie.

— Otóż znowu na zły jesteś drodze, pomyślałem sobie. Serce spokojne, mój Joryku, nie wpada w ostateczność; zawsze ono umie panować nad sobą. — Już dobrze, dobrze, — zawołałem, — a tymczasem woźnica przez bramę wjeżdżał na podwórze zamkowe, już ja znajduję się jak najprzyzwoicięj.

W końcu gdy powóz zatrzymał się przed drzwiami wchodowymi, uczułem się po tej nauczce, którą sobie sam dałem, tak spokojnym jak tylko można. Nie wchodziłem po schodach ani z trwogą skazanego na śmierć winowajcy, ani też nie biegłem po nich z ową trzpiotliwą wesołością, jaka mnie zwykle ożywia, ilekroć napotkać ciebie Elizo, mam nadzieję. W chwili mego wejścia do salonu, wyszła naprzeciw mnie osoba jakas, — zapewne marszałek pałacu, kamerdyner, lub też podsekretarz; i oświadczyła mi, że księżę de Choiseul jest zatrudniony.

— Nie wiem prawdziwie, — rzekłem, — co mi wypada

w tym razie czynić, abym uzyskał posłuchanie; jestem bowiem cudzoziemcem, a co gorsza jeszcze w teraźniejszem położeniu rzeczy, jestem Anglikiem.

— Ta ostatnia okoliczność, — odpowiedział, — nie powiększa wcale trudności. Skłoniłem się mu lekko, oświadczył zarazem, że mam coś nader wielkiej wagi księciu oznajmić. Powiódł okiem wokoło sali, jakby w zamiarze dostrzeżenia kogo, któryby o tém uprzedził ministra.

— Ale nie chcąc nikogo w błąd wprowadzić, — dodałem natychmiast, — to co mam powiedzieć zupełnie osoby księcia de Choiseul nie dotyczy i tylko dla mnie samego jest rzeczą ważną.

— O to co innego! — odpowiedział.

— Nie, panie, — odparłem, — dla księcia to zupełnie zarówno. Jednakże proszę mi powiedzieć, łaskawy panie, — dodałem, — kiedy mogę się spodziewać zostać wpuszczonym? — Za dwie godziny, — powiedział.

Liczba powozów, stojących na podwórzu, zdawała się usprawiedliwiać jego odpowiedź, że nie mogłem mieć nadziei przedszego posłuchania. Cóż mam robić przez ten czas? pomyślałem sobie. Przechadzać się wzdłuż i wszerz po sali audyencyonalnej, nie zdawało mi się wcale przyjemnym spędzeniem czasu. Zeszedłem więc na dół, wsiałem do powozu, i kazałem się woźnicy zawieść do najbliższego hotelu Cordon-Bleu, zwanego.

Takie jest widać moje przeznaczenie: rzadko się tam dostanę, gdzie sobie zamierzę.

PASZTETNIK.

Nie byłem jeszcze w połowie drogi do hotelu, a już zmieniłem zamiar. Będąc w Wersalu, pomyślałem sobie, jednocześnie i miasto zwidzić mogę; pociągnąłem więc za sznurek i rozkazałem woźnicy, aby mnie obwioził po najznacniejszych ulicach, dodając przytém, że miasto nie musi być tak wielkie. — Nie tak wielkie! powtórzył woźnica z zadziwieniem; o! i bardzo wielkie i bardzo pyszne. Większa część znakomitych książąt, markizów i hrabiów ma tutaj swoje pałace. Ostatni jego wyraz *hrabiów*, przywiódł mi zaraz na myśl hrabiego B. o którym mi dniem wprzód księgarz na wybrzeżu Conti tak pochlebnie wspominał. Dla czegożbym się nie miał udać, pomyślałem sobie, do hrabiego B, który tak wysoko ceni angielskie książki i Anglików, i jemu sprawę moję przedstawić?

Zmieniłem więc mój zamiar po raz drugi, a właściwie po raz trzeci, bo najprzód zamierzyłem był w tym dniu złożyć osobiście moje uszanowanie pani R. przy ulicy des Saints-Pères i już nawet kazałem ją o tém uprzedzić przez pokojową. Ale cóż poradzić, kiedy nie ja okolicznościami, lecz okoliczności mną rządzą. Spozstrzegłszy więc człowieka na drugiej stronie ulicy z koszykiem stojącego, jakby w nim miał coś na sprzedaż, kazałem Lafleurowi pójść do niego i zapytać się gdzie mieszka hrabia B.

Lafleur przybiegł do mnie po chwili z pośpiechem, z twarzą zdziwioną powiedział mi, że ów człowiek który pasztety sprzedaje jest kawalerem orderu s. Ludwika. — To niepodobna! — zawołałem. — Nie mogę panu tego com widział, rzecze Lafleur, dostatecznie wytłumaczyć, lecz tak jest w istocie, że na własne oczy widziałem złoty krzyżyk na czerwonej wstążeczce u dziurki surduta wiszący, a że zajrawszy do kosza, spostrzegłem w nim pasztetki które sprzedaje, trudno więc przypuścić abym się miał pomylić.

Smutne igrzyska losu budzą w człowieku umięjącym czuć niedolę bliźnich, szlachetniejsze uczucie jak ciekawość. Patrzałem nań czas niejaki z powozu, a czém dłu-

żę się jemu, jego koszykowi i krzyżowi przypatrywałem, tęp więcej wzruszyło się moje serce. Wreszcie wysiadłem i zbliżyłem się do niego.

Przepasany był białym fartuchem, spadającym mu aż poniżej kolan, a na piersiach uchylonym; tak, że z boku krzyż wiszący na wstążce, widzieć było można. Koszyk napełniony pasztetami, pokryty był białą serwetą, a druga takąż sama była na spodzie. Wszystko tak czysto i porządnie wyglądało, że można było kupować paszteciki, tak z litości, jak z chęci.

Nikomiu się z niemi nie narzucał; stał sobie spokojnie na rogu jakiegoś pałacu, w nadziei że każdy kto zechce, kupić je tam może.

Mógł mieć około lat pięćdziesięciu; na twarzy jego malowały się stateczność i powaga; co mnie wcale nie dziwiło. Udałem się raczej do kosza, jak do niego, a uchyliwszy nieco serwetę, wziąłem jeden pasztecik do ręki i poprosiłem go zarazem, aby mi wytłumaczył to zjawisko które mnie w takie wprawilo podziwienie.

W niewielu słowach opowiedział mi, że młodość swoją przepędził w służbie wojskowej, gdzie straciwszy siłę i niewielki spadek po rodzicach, otrzymał kompanią z nią ten krzyż; lecz że po zawarciu ostatniego pokoju, cały pułk rozpuszczono, i ten oddział wojska wraz z innemi pułkami bez wynagrodzenia pozostawiono. Nie mając nikogo na świecie, bez przyjaciół, bez pieniędzy, nie posiadał nic, prócz tego, — tu wskazał na krzyżyk. Biedny kawaler we mnie litość wzbudził i szacunek mój dla siebie zjednał: dodawszy te słowa:

— Król, — jest również dobry jak szlachetny, ale wspaniałość i arogancja jego nie może każdego wynagrodzić i przyjść każdemu w pomoc. Całem mojem nieszczęściem jestto, że do liczby tych należę. Mam żonę, kochamy się wzajemnie, ona to robi te paszteciki; a nie widzę w tęp żadnego zchańbienia, iż siebie i ją w ten sposób od niedostatku chronię, dopóki Opatrzność cós lepszego nam nie ześle.

Pozbawiłbym dusze czule przyjemności, gdybym zamilił owo szczęśliwe zdarzenie, które tego poczciwego kawalera, w dziewięć miesięcy spotkało.

Stawał zwykle przy żelaznej kracie, wiodącej do zamku królewskiego. Jego krzyż ścigał uwagę wielu osób, które zdjęte ciekawością tak jak ja, zadawały mu pytania, na które podobnie jak mnie dawał odpowiedzi. Tak się to w końcu rozeszło po mieście, że doszło do samego króla. Król przekonawszy się, że ów kawaler był bitnym i walecznym officerem, i że w całym pułku jako człowiek uczciwy i ze wszech miar godzien szacunku był znany, położył koniec jego handlowi, wyznaczwszy mu pensyą dożywotnią tysiąc pięćset franków rocznie wynoszącą.

Opowiedziałem to zdarzenie w chęci zabawienia czytelnika. Niechże mi teraz wolno będzie opowiedzieć inne zdarzenie, dla mojej własnej przyjemności; nadto, gdy obie te powieści wzajemnie się objaśniają, szkoda by było rozłączać je z sobą.

SZPADA.

Jeżeli państwa najpotężniejsze mają swoje epoki upadku i doświadczenia z kolei klęsk i nędzy, nie widzę przeto potrzeby wyluszczać przyczyny, które powoli spowodowały upadek domu d'E. w Bretanii. Margrabia d'E. z wielką stałością i męstwem walczył przeciwko pociskom losu: pragnął zachować dla potomności, przynajmniej szczątki blasku swych przodków; lecz ich niebacznosc, wszelkie środki do tego mu odejła. Wprawdzie, pozostało mu jeszcze tyle, iż mógł swobodnie prowadzić życie w ustroju, światu nieznanem; ale miał dwóch synów którzy do czegoś więcej wdychali i którzy lepszego warci byli losu. Zyczył sobie z całego serca ażeby torowali drogę do

światności, orężem; ale dopięcie wyższych stopni wiele kosztów pociągało, a konieczna oszczędność nie dozwalała tego. Nie widział więc dla siebie innego środka, jak tylko wziąć się do handlu.

W każdej innszej prowincyi francuzkiej, byle tylko nie w Bretanii, to małe drzewko, które miłość jego i duma chciała do kwitnienia niejako zmusić, byłoby uschło do korzenia. Na szczęście Bretania zachowała przywilej niepoddawania się jarzmu przesądów świata. Stany państwa zebrały się w Rennes; markiz korzystając z tęp okoliczności, udał się z swymi dwoma synami na miejsce zgromadzenia. Zasadzając się na dawnych prawach tego księstwa, do których chociaż wprawdzie rzadko się odwoływano, a które jednakże jeszcze moc swoją zachowały, odpiął szpadę od swojego boku i rzekł: — Oto składam ją w ręce wasze i proszę o wierne jej przechowanie dotąd, dopóki los pomyślniejszy nie dozwoli mi upomnieć się o nią.

Prezydent przyjął szpadę margrabiego, który chwil kilka jeszcze się zatrzymał, chcąc być świadkiem złożenia jej w jego rodzinnych archiwach, po czém się oddalił.

Następnego dnia, margrabia z całą swoją rodziną wsiadł na okręt i odpłynął do Martyniki.

Tam przez lat dwadzieścia prowadząc ciągle handel, nadto odebrawszy kilka niespodziewanych, a przytęp znacznych zapisów majątku po dalekich krewnych, ujrzał się w stanie utrzymania swego domu w dawniej światności, wrócił do kraju, by zwrotu swojej szpady zażądać.

Miałem przyjemność znajdowania się w Rennes, podczas tęp uroczystości; tak, powtarzam uroczystości, bo jakżeby inaczej ten wypadek mógł nazwać podróży sentymentalny?

Margrabia otoczony całą rodziną wszedł do sali zgromadzeń; prowadził żonę, najstarszy syn prowadził siostrę, a najmłodszy stał po drugiej stronie obok matki. Szanowny ojciec rodziny kilkakrotnie ocierał chustką łzy swoje.

Do koła panowało najgłębsze milczenie. Pozostawwszy swoją żonę chwilowej opiece starszego syna i córki, margrabia zbliżył się do zgromadzenia i zażądał zwrotu swojej szpady. Natychmiast całkiem wy dobył ją z pochwy; twarz jego zajaśniała radością jakby na widok przyjaciela z którym się dawno nie widział; przypatrywał jej się pilnie, chcąc się upewnić, czy to istotnie była ta sama. Ujrawszy małą plamkę rdzy, zbliżył ją do oczu i twarz na nią pochylił; i zdaje się mi że widział łzę spadającą na to miejsce; sądząc zaś z tego co nastąpiło, wcale się nie omyliłem.

— Znajdę ją, — rzekł, — inny środek starcia z nią tęp płamy.

A wyrzekłszy to, wsunął ją napowrót do pochwy, ukłosem podziękował tym którzy ją przechowali i wyszedł z żoną, córką i dwoma synami.

O! jakżeż mu zazdrościłem tego, co on czuł w tęp chwili.

WERSAL.

Dostałem się do hrabiego de B. bez żadnych trudności. Przeglądał właśnie dzieła Szekspira, które przed nim na stoliku leżały. Spojrzałem na te książki z takim wyrazem, że łatwo mógł odgadnąć, iż mi są one dobrze znane. — Panie hrabio! — odezwałem się, — przychodzę tu bez nikogo, coby mnie mógł panu przedstawić, bo spodziewałem się zastać w pokoju przyjaciela, który mi tęp usługi zapewne nie odmówi: oto on, wielki Szekspir, mój rodak i wskazałem na jego dzieła. Wzniosły geniuszu! zawołałem, chciój mi uczynić ten zaszczyt.

Hrabia uśmiechnął się na to szczególne przedstawie-

nie, a widząc bladeść na mojej twarzy, prosił mnie usilnie, abym wypoczął. Usiadłem więc, a chcąc mu oszczędzić długich domysłów nad tak szczególnymi odwiedzinami, w kilku słowach opowiedziałem mu zdarzenie moje w księgarni, co było powodem, że będąc obecnie w małym kłopotcie, z prośbą moją wolałem się udać do niego, aniżeli do kogokolwiek innego.

— Jakiegoż rodzaju pański kłopot? zapytał hrabia; — proszę mnie objaśnić, — dodał w końcu.

Opowiedziałem mu jak się rzecz miała, w sposobie wiadomym już czytelnikowi.

— A mój gospodarz hotelu, panie hrabio, — dodałem kończąc, utrzymuje z największą pewnością, że mnie do Bastylli wtrąca. Ale ja się niczego nie lękam, znajduję się bowiem wśród narodu najgrzeczniejszego w świecie, a nadto sumienie moje nic mi nie wyrzuca, nie przybyłem bowiem do Francji w charakterze szpiega, lub w zamiarze wysiedlenia słabszych miejsc kraju; nie sądzę, aby mi miano jaką nieprzyjemność wyrządzić. Nie przystoi wspaniałości Francuzów, panie hrabio pastwić się nad niewinną i bezbrodną ofiarą.

Ostatnie te słowa wywołały na lice hrabiego żywy rumieniec.

— Nie obawiaj się pan niczego, odpowiedział.

— Ja panie hrabio, ja nie obawiam się niczego; wreszcie, — dodałem żartobliwie, śmiejąc się odbyłem całą podróż z Londynu do Paryża, i nie sądzę aby książę de Choiseul był takim nieprzyjacielem wesołości, iżby miał mnie zmusić do powrotu z płaczem.

— Udamę się przeto do pana hrabiego, — tu zrobiłem niski ukłon, — z prośbą aby się wstać raczył do księcia Choiseul, iżby czynić tego nie chciał.

Hrabia zdawał się słuchać mnie z wielkim zajęciem, bo gdyby nie to, zapewne nie mówiłbym tak wiele.

Póczas gdy mówić, pare razy odezwał się nawet: To dobrze powiedziane. — Na tém też przestałem, postanowiwszy ani słowa więcej w tej sprawie nie mówić.

Hrabia sam zmienił przedmiot rozmowy; mówiliśmy o rzeczach potocznych, o literaturze, nowinach, polityce męczyznach, a w końcu o kobietach.

— Niechaj Bóg całą płec piękną błogosławi! zawolałem; — nie masz człowieka, któryby bardziej kochał kobiety odemnie. Pomimo wszystkie ich słabości, które widziałem, wszystkie satyry przeciw nim wymierzone, jakie czytałem, kocham je zawsze i jestem przekonany, że ten kto nie ma skłonności do całej ich płci, nie potrafi jednej kochać tak jakby powinien.

— To tedy mości Angliku, rzekł wesoło hrabia; — nie przybywasz pan do Francji jak uważam, by wysiedzić słabsze miejsca naszego kraju, wierzę mu, ani też śmiem powiedzieć, słabości naszych kobiet. Pozwól mi jednakże przypuszczać, że jeżeli te przypadkiem wpadną panu w oczy, widok ten zapewne nie nabawi pana trwogi.

— Mam coś w sobie wrodzonego, że na najniższą nieprzystojność cały się oburzam. Wszelkich sił już dokładałem, aby ten wstręt w żartobliwych rozmowach i zaba-

wach przewyciężyć i nieraz z wielką trudnością odważyłem się powiedzieć takie rzeczy, w licznym gronie kobiet, którychbym przy jednej tylko żadnym sposobem nie był w stanie wymienić, choćby mnie miało największe spotkać szczęście.

— Przebacz panie hrabio, rzekłem; gdyby Francja, kraj tak kwitnący, miała mi przedstawić swoją słabość, ze łzami patrzyłbym na nią, ale co do słabości waszych kobiet, i zapłonałem się na sam obraz, który mi w umyśle stał, to pod tym względem jestem tak gorliwym zwawcą chrystjanizmu, tak się lituję nad słabościami bliźnich, że chciałbym ich okryć płaszczykiem skromności, gdybym tylko wiedział jak w tym sobie poradzić. Lecz przeciwnie, życzylibym sobie bardzo zgłębić słabości ich serca, i pomimo różnic zwyczajów, klimatu, religii, zbadać co w nich jest dobrego, aby przez to moje własne wykształcić. W tym to jedynie celu przybyłem do Paryża, i ta jest właśnie przyczyna panie hrabio, dlaczego dotąd nie oglądałem ani Palais-Royal, ani Luxemburg'a, ani fa-

cyaty Luwru; nie starałem się także o pomnożenie spisu obrazów, posągów i kościołów: każdą piękność uważam za świętynię, do której wolałbym się raczej dostać dla widzenia tam wzorowych zarysów i lekkich szkiców, niż dla obrazu Rafaela.

— Żądza moja pod tym względem, równie gorąca jak ta, co miłośników i zwawców sztuki zapala, wyprowadziła mnie z mojej ojczystej ziemi do Francji, a z Francji do Włoch, a może i dalej zawiedzie. Jestto cicha podróż serca gonionego za przyrodą, oraz uczuć które się z nią rodzą i wzajemnym węzłem miłości ludzkości z sobą łączą.

Hrabia wiele mi z tego powodu grzeczności powiedział i dodał z wyrazem największej uprzejmości, że wielce jest wdzięcznym Szekspirowi, za zjednanie mu ze mną znajomości. — Ale, ale, — rzekł w końcu; — Szekspir pełen tak jest wznioślejszych myśli; że zapominał o jednej bardzo małej rzeczy,

to jest: wymienić mi pańskie nazwisko; bądź więc pan tak grzeczny i zastąp go w tym razie.

Nie ma nic dla mnie przykrzejszego, jak konieczność oznajmienia kim jestem; o każdym innym człowieku z większą daleko łatwością powiedzieć coś mogę, jak o sobie samym; nieraz sobie życzyłem, aby to jednym słowem zakończyć można. Był to jedyny raz i sposobność w moim życiu, w której mi się to uczynić udało. Dzieła Szekspira miałem przed oczyma; przypomniałem sobie scenę w tragedji Hamlet gdzie moje imię występuje; natychmiast otworzyłem książkę, wynalazłem scenę *grabarzy* w piątym akcie i ukazując palcem nazwisko *Joryka*, podałem dzieło hrabiemu, mówiąc: — Oto jestem!

Mało na tém zależy wiedzieć, czy obecność mojej osoby wybiła z pamięci hrabiego scenę o trupiej głowie biednego *Joryka*, lub jaką siłą czarodziejską przeskoczył siedm do ośmiu wieków; to przecież nie ulega wątpliwości, że Francuzi latwiej rzeczy pojmują jak kombinują. Nic mnie nie zadziwia, a tym mniej jeszcze ten rodzaj pomyłki.

Przed laty jeszcze porwałem się do kazań i kilkana-



Lafleur. — Cała jego powierzchowność przypomniała mi natychmiast że dziś była niedziela.

ście tak złych jak dobrych napisałem. Jeden z pierwszych zwierzchników naszego kościoła, którego uczciwość i ojcowskie uczucia, wielkie u mnie mają poważanie w podobnym zdarzeniu; w tenże sam błąd popadł. — Nie mogę, rzekł on raz do mnie, — ośmielić się do przejrzenia zbioru kazań, pisanych przez trefnisia króla Duńskiego.

— Ależ, JW. panie, odpowiedziałem; dwóch jest Joryków. Joryk, o którym JW. pan raczysz mówić, przed ośmiu wiekami umarł i został pogrzebany; jaśniał on na dworze króla *Horwendilla*. Drugi Joryk nie jaśniał jeszcze na żadnym dworze i tym ja jestem.

Wstrząsnął na to głową.

— Przebóg! zawołałem; — tym więc sposobem mógłbyś JW. pan tak samo Aleksandra Wielkiego pomieszać z Aleksandrem kotlarzem, o którym ś. Paweł wspomina.

— To wszystko jedno, — odpowiedział.

— O! gdyby król Macedoński mógł być JW. panu dać korzystniejsze biskupstwo, rzekłem, pewny jestem że tegoby JW. pan nie powiedział.

Otóż w taki to sam błąd popadł i nasz hrabia.

— Pan jesteś Joryk! — wykrzyknął.

— Tak, jestem nim, odpowiedziałem.

— Pan? powtórzył.

— Tak, ja sam; ja, który mam przyjemność z panem hrabią rozmawiać, dodałem.

— Miły Boże! zawołał ściskając mnie; — pan jesteś Jorykiem!

A powiedziawszy to, schował zaraz Szekspira do kieszeni i zostawił mnie samego w swoim gabinecie.

PASZPORT.

Nie mogłem pojąć dlaczego hrabia wyszedł z takim pośpiechem i dlaczego zabrał z sobą tom Szekspira. Tajemnice, które się z czasem same wyjawić muszą, nie zasługują na to, aby usiłowaniem odgadnięcia ich pracy sobie zadawano. Wziąłem tedy do ręki jeden z pozostałych tomów dzieł Szekspira; przypadkiem natrafiłem na sztukę pod tytułem: *Wiele hałasu o nic*, i z fotelu na którym siedziałem, przeniosłszy się myślą do Messyny w Sycylii, tak się zająłem Don Pedrem, Benedyktem i Beatryxą, że zapomniałem o Wersalu, o hrabi i paszporcie.

O słodka giętkość umysłu ludzkiego, która tak łatwo oddajesz się złudzeniom, słodząc chwile smutne oczekiwania i trosków! Dawno już, o bardzo dawno zakończyłbym życie, gdybym się po tych czarownych równinach nie błąkał. Skoro natrafiłem na drogę zbyt twardą dla nóg moich, lub zbyt górzystą na moje siły, wnet ją rzucam i szukam ścieżki równiej i wygodnej, którą wyobraźnia różanemi liśćmi posypuje. Zrobiwszy na niej kilka kroków, wracam silniejszy i świeższy. Jeżeli upadam pod ciężarem smutku i cierpienia, na które świat głuchym się staje, rzucam dawniejszą drogę i szukam nową. Uciekam od ludzi, a lepiej znając pola Elizejskie jak niebo, jak drugi Enneas, toruję sobie gwałtem drogę do tych miejsc uroczych. Widzę go, jak się spotyka z cieniem swojej opuszczonej Didony, i chce go rozpoznać; ale cień obrażonej wstrząsa głową i odwraca się w milczeniu od sprawcy swjej niedoli i hańby. Moje uczucia łączą się z jej uczuciami i mieszają z tém tkliwem rozrzewnieniem, które mi w czasie pobytu w kollegium, wyciskały Izzy nad jej losem.

Zaprawdę nie znaczy to gonić za próżnym cieniem, lub dręczyć się napróżno, chcąc go uchwycić; męczymy się częściej, powierzając nasze uczucia samemu rozumowi. Śmiało powiedzieć mogę, że nigdy skuteczniej nie zwalczył żadnego nikczemnego uczucia mojego serca, jak wzniciając w niem uczucie łagodniejsze i szlachetniejsze.

Kończyłem właśnie akt trzeci, kiedy hrabia B. powrócił, niosąc dla mnie paszport. — Książę de Choiseul, powie-

dział, jest tak dobrym prorokiem, jak i wielkim statystą. Człowiek który się śmieje, rzekł, nie będzie nigdy niebezpiecznym.

— Gdyby chodziło o paszport dla kogo innego, a nie dla trefnisia królewskiego, — rzekł hrabia, — zapewne w przeciągu dwóch godzin nie byłbym go wyjednał.

— Ależ panie hrabio, odpowiedziałem; — ja wcale nie jestem trefnisiem królewskim.

— Wszak pan jesteś Jorykiem?

— Tak jest.

— Wszak śmiejesz się, żartujesz?

— Tak, śmieję się, żartuję, ale za to mi nikt nie płaci: zawsze to czynię własnym kosztem. Na dworze naszym nie mamy trefnisiów, panie hrabio, dodałem; ostatni z nich był pod rozpustnym panowaniem Karola II. Od owego czasu obyczaje nasze tak się zmieniły i uszlachetniły, że na dworze znajdziesz pan tylko prawdziwych patryotów, którzy tylko chwały i bogactw dla swjej ojczyzny pragną. Wszystkie zaś damy nasze są tak skromne, niewinne, niepokalane, że trefniś żadnego żartobliwego pocisku nie mógłby na nie wymierzyć.

— O! co to, to prawdziwe drwinki! zawołał hrabia.

ZBOCZENIE.

W paszporcie zalecono wszystkim gubernatorom, wicegubernatorom, komendantom miast, dowódczom i wszystkim urzędnikom sprawiedliwości, przepuszczać wolno pana Joryk trefnisia królewskiego i wraz z wszystkiem co do niego należy, bez najmniejszej przeszkody. Wyznać jednak muszę, że tryumf mój z uzyskania paszportu, wielce przyćmionym został tą rolą, którą mi w nim narzucano. Lecz cóż może być na świecie bez przymieszania złego? Znam niektórych teologów którzy twierdzą, że rozkosz sama jest połączona z westchnieniem, i że największa którą znają, kończy się zwykle czemścis podobnym do konwulsyi.

Pamiętam że poważny i uczony Beworiskius w swoich objaśnieniach nad pokoleniem Adama, przerywa w połowie jeden przypisek, dla opowiedzenia o parze wróbla w rogu jego okna, które mu przez cały czas pisania tak przeszkadzały, że w końcu stracił nieć genealogicznych wywodów.

— To rzecz szczególna, powiada Beworiskius, chociaż zupełnie prawdziwa, gdyż miałem ciekawość za każdym razem znaczyć piórem ich miłostki, a wróbel samiec w tym krótkim przeciągu czasu, jakiego potrzebowałem na skończenie mojej noty, dwadzieścia dwa razy i pół pieczętoty swoje powtórzył. Jakże niebo łaskawe na swoje stworzenia! — zawołał Beworiskius. I to najpoważniejszy z twoich rodaków biedny Joryku, napisał to czego ty nie możesz bez zawstyżenia powtórzyć.

Ale ta powiastka nie ma nic wspólnego z moimi podróżami, stokrotnie więc przepraszam łaskawego czytelnika za to małe zбочenie.

CHARAKTERY.

— A więc dobrze, rzekł hrabia, oddając mi paszport; — powiedz mi pan teraz, jak się mu Francuzi podobają?

Łatwo się domyśleć, że po tylu dowodach grzeczności, musiałem odpowiedzieć na to pytanie jak najgrzeczniej.

— Ale mniejsza z tém, rzekł hrabia; — powiedz pan szczerze, czyli w istocie znajdujesz w Francuzach tę grzeczność, z której na całym świecie słyną?

— Wszystko to, co dotąd widziałem, — odrzekłem, — utwierdza mnie w tém przekonaniu.

— O! tak, rzekł hrabia; — Francuzi są bardzo grzeczni.

— Aż do zbytku, — odpowiedziałem.

Ten wyraz *zbytek*, hrabia zaraz podchwycił i utrzy-

mywał stale, że więcej przezeń rozumie niż powiedziałem. Bronilem się tak długo jak tylko mogłem; hrabia jednakże ciągle obstawał przy swoim, że jeszcze w myśli coś ukrywam i nalegał uprzejmie, abym przed nim żadnej nie robił tajemnicy.

— Mniemam panie hrabio, rzekłem, — że tak się ma względem zapytań czynionych w towarzystwie, jak względem muzyki potrzeba klucza do odpowiedzi na jedne, również jak do wyrażenia drugiego. Ton za wysoki lub za niski, psuje całą harmonię.

Hrabia odpowiedział że się nie zna na muzyce, i prosił mnie, abym mu tę rzecz w innym sposobie wyłożył.

— Każdy naród oświecony panie hrabio, czyni świat swoim dłużnikiem. Grzeczność sama w sobie ma tyle wdzięku, co i płeć piękna; że serce się wzdyga źle o niej mówić. Mimo to wszakże, według mego przekonania, każda doskonałość ma swoje granice, których człowiek może dosięgnąć; jeżeli go zaś przeskończy, odmienia wtedy swoje przymioty, nie nabywając jednak nowych. Nie myślę przez to wyrażać, jak dalece się to Francuzów w rzeczy o której mówimy dotyczy; lecz gdyby kiedy Anglicy doszli do tej grzeczności cechującej Francuzów, i gdybyśmy nie stracili owęj delikatności serca, skłaniającej ludzi więcej do szlachetnych jak grzecznych uczynków, to przynajmniej straciłoby ten oryginalny i różnorodny charakter, który ich nie tylko pomiędzy sobą ale i od reszty świata odróżnia.

Miałem w kieszeni kilka zupełnie wytartych szylingów, wybitych za panowania Wilhelma, a które mi mogły posłużyć do lepszego rzeczy wyjaśnienia.

— Oto, panie hrabio, rzekłem, — kładąc je przed nim na stoliku: — te dwie sztuki monety, skutkiem siedmiesięcioletniego tarcia się po różnych kieszeniach tak się stały do siebie podobne, że trudno odróżnić jedną od drugiej.

— Anglicy nakształt dawnych medalów, oddzielnie przechowywanych i przez niewiele rąk przechodzących, zachowują to piętno niestarte, które przyroda na nich wycisnęła, nie są one tak przyjemne w dotknięciu, lecz za to napisy na nich są tak wyraźne, że na pierwszy rzut oka widzieć można, czyj wizerunek i nazwisko na sobie noszą. Ale Francuzi, panie hrabio, dodałem, — chcąc złagodzić nieco to com wyrzekł, tyle mają wyborynych przymiotów że się bardzo bez tego obejść mogą. Nie masz narodu tak pewnego, walecznego, szlachetnego, dowcipnego i lepszego, jak oni; jedną tylko wadę przypisać im można, to jest: że są zbyt poważni.

— Przebog! zawołał hrabia, zrywając się z krzesła, — zartujesz chyba.

Położyłem rękę na piersiach zapewniając go, że takie było moje mniemanie.

Hrabia oświadczył mi, że mocno żałował nie mogąc dłużej zostać dla wysłuchania mego usprawiedliwienia tej myśli, gdyż właśnie zaproszony jest na tę godzinę na obiad do księcia de Choiseul.

— Spodziewam się jednak, dodał, — że Wersal nie wyda się panu tak odległym od Paryża, abyś do mnie kiedy na obiad nie był łaskaw przyjechać. Będę miał przyjemność że zdanie swoje odwołasz, lub poprziesz dowodami, a w tym ostatnim razie panie Angliku, będziesz musiał wszystkich sił użyć, gdyż ci się wszystko w tém będzie sprzeciwiać.

Przyrzekłem hrabiemu, że przed wyjazdem moim do Włoch, nie zaniedbam korzystać z uprzejmego zaproszenia i pożegnałem go.

POKUSA.

Za powrotem do Paryża, dowiedziałem się od odzwiernego, że w tej właśnie chwili jakaś młoda dziewczyna

trzymająca pod pachą tekturowe pudełko, o mnie się pytała. Nie wiem, dodał odzwierny, czy już odeszła lub nie.

Kazałem podać sobie klucz od pokoju i udałem się do siebie; na schodach spostrzegłem ją na dół schodzącą.

Była to ładna pokojowa z wybrzeża Conti. Pani R. wysłała ją za kilkoma sprawunkami do magazynu będącego niedaleko Modeńskiego hotelu; a że o naznaczonej godzinie nie odwiedziłem ją, poleciła przeto dziewczynie aby za jedną drogą dowiedziała się czyli już wyjechałem z Paryża, a w takim razie zapytać się, czym jakiego listu do niej nie zostawił.

Weszła ze mną do mego pokoju, aby poczekać nim list napiszę.

Był to jeden z owych cichych, rokosznych majowych wieczorów; różowe rolety szczelnie zasłaniały okna. Promienie zachodzącego słońca, przedzierające się przez te zasłony, padały na twarz pięknej dziewczyny, że zdawała się oblaną żywym rumieńcem. Na tę myśl mnie samego rumieniec na twarz wystąpił; byliśmy sami, a ta okoliczność drugi wznieciła rumieniec, nim pierwszy zniknął.

Jest pewien rodzaj przyjemnego, na pół występnego rumieńca, który pochodzi raczej ze krwi, niż z winy samego człowieka. Płynie on gwałtownie z serca, a cnota za nim goni, nie dla tego aby go zatrzymać; lecz aby czucie jego rokoszniejszym uczynić.

Opisywać go nie będę. Zrazu uczulem w sobie coś niezgodnego z ową nauczka moralną, którą wczoraj na wybrzeżu Conti dałem. Szukałem ćwiartki papieru, przez sześć może minut, chociaż wiedziałem dobrze, że nie mam ani jednej. Wziąłem pióro do ręki, odłożyłem je na bok; ręce mi drżały, zły duch mnie opanował.

Wiem równie dobrze jak kto, że on jest nieprzyjacielem, który ucieka, gdy mu mężny opór stawiamy; ale ja rzadko kiedy stawiam mu opór, z obawy, abym w tej walce nie został ranny, chociażbym nawet został zwycięzcą. Dla większej pewności wolę ustąpić z pola bitwy i zamiast zmuszenia diabła do ucieczki, sam się cofam.

Dziewcze zbliżyło się do biurka, w którym napróżno szukałem papieru. Naprzd podała mi pióro, którym był na bok odrzucił, potem chciała mi trzymać kałamarz, oświadczając to tak ujmującym głosem, że jęj ofiarę chciałem już przyjąć; jednakże nie śmiałem.

— Ale moja droga, nie mam, rzekłem, ani kawałka papieru listowego.

— Napisz pan, odpowiedziała, na czémkolwiek.

Chciałem jęj właśnie powiedzieć: chyba na twoich miłych usteczkach napiszę. Ale pomyślałem sobie, że gdyby to nastąpiło, byłoby już po mnie. Wziąłem ją więc za ręce, odprowadziłem do drzwi, prosząc, aby nie zapomniała danęj jęj wczoraj przestrogi. Zapewniła mnie, że będzie o niej pamiętała i to wyrzekła z taką żywością, że obróciwszy się, obie swoje rączki w moje dłonie włożyła. Niepodobna ich było wtedy nie uściskać. Chciałem je wprawdzie wypuścić, lecz ciągle trzymałem. Nic jęj nie mówiąc, walczyłem z sobą, jednak zawsze ścisnąłem jęj ręce. Po chwili spostrzegłem, że na nowo musiałem walkę rozpocząć; na tę samą myśl, poczułem dreszcz przebiegający wszystkie członki.

Łóżko zaledwie o dwa kroki było od nas. Ciągle trzymałem ją za ręce, i sam nie wiem, jak się to stało; nie mówiłem bowiem żeby usiadła, nie myślałem nawet o łóżku, jednakże usiedliśmy na niem oboje.

— Muszę panu pokazać mój woreczek, odezwała się pokojówka; uszyłam go sobie na pańskiego talara.

To mówiąc, sięgnęła po niego do prawej kieszeni, która była z mojej strony, szukała w niej chwilę, a potem w lewej, a nie znajdując lękała się czy go nie zgubiła. Nigdy w życiu z większą spokojnością na nic nie czeka-

Iem; nakoniec woreczek znalazł się w prawej, gdzie go już raz szukała. Był on zrobiony z zielonej materyi, podszytej białym atłasem, i nie większy, niż potrzeba do schowania talara. Podała mi go do ręki, był bardzo ładnie zrobiony, i trzymałem go z dziesięć może minut, przypatrując się to woreczkowi, to ładnej twarzyczce.

Miałem na szyi fałdowany halsztuch w którym się kilka nitek zerwało. Nic nie mówiąc, dobyła igielnika, nawlekła igłę i uszkodzone miejsca ponaprawiła. Przeczuwałem wtedy całe niebezpieczeństwo, grożące méj sławie z odniesionego zwycięstwa. Jój ręka przemykająca się podczas téj roboty, około mojej szyi, silnie wstrząsała wawrzyny, któremi wyobrażenia moja czoło mi już uwieńczyła.

Gdy szyla, u trzewika jój odpięła się sprzączka i ledwie nie odpadła.

— Patrzał pan, rzecz piękna pokojowa, pokazując mi nóżkę, zgubiłabym gdybym nie spostrzegła.

Zawdzięczając jój dla mnie grzeczność, przypiąłem jój nawzajem sprzączkę. To skończywszy, podniosłem jój i drugą nóżkę, chcąc się przekonać czy wszystko było w należytem porządku. Uczyniłem to tak żywo i pośpiesznie, że piękne dziewczę przewróciło się, a wtedy...

ZWYCIĘZTWO.

Tak, a wtedy?... O wy! z lodowatemi i wyziębłemi sercami, co namiętności rozumem wytępiac lub obłudą pokryć chcecie, powiedzcie, co winien człowiek który je dostał w udziale? albo téż czyli duch nasz odpowiedzialnym jest za co innego, jeżeli nie za sprawy swoje, pod panowaniem namiętności wykonane?

Jeżeli przyroda tkaninę swoją życzliwości w ten sposób utkała, że się w niej kilka nici miłości i żądy znajduje, czyliż dla tego całą tę tkaninę, podrzeć mamy, by owe nici powyciągać? O wielki władco przyrody! ukarż tych mędrców surowo, pomyślałem sobie. Gdziekolwiek mi twoja Opatrzność, każe doświadczyć méj cnoty, jakiegokolwiek zagrażać mi będzie niebezpieczeństwo, w jakimkolwiek znajduję się położeniu, zostaw mi uczucie wrzucenia człowieka w właściwych. Jeżeli rządzić niemi, jak powierzonom mi dobrem będę, całą ufność na twój sprawiedliwości pokładam, bo nie my siebie, lecz ty nas stworzyłeś.

Po téj krótkiej modlitwie, wzniesionej do nieba, podniosłem ładną pokojową za ręce i wyprowadziłem z pokoju. Stała przy mnie, dopóki drzwi nie zamknąłem i nie schowałem klucza do kieszeni. A wtedy, gdy już zwycięstwo było niewątpliwe, wtedy dopiero złożyłem na jój licu pocałowanie i wzięwszy ją za rękę, z zupełnem bezpieczeństwem odprowadziłem do bramy hotelu.

TAJEMNICA.

Znawca serc ludzkich łatwo pojmie, że mi niepodobna było zaraz wrócić do siebie; to by się tak zupełnie wydało, jakby ktoś z muzyki pełnej ognia, zapalającej wszystkie jego uczucia, przeszedł do zimnej jakiejś nuty. Zatrzymałem się więc przez kilka chwil w bramie hotelu, przypatrując się przechodzącym, i robiąc nad niemi różne spostrzeżenia. Lecz wkrótce pewien przedmiot zwrócił na siebie wyjątkownie całą moją uwagę.

Przed bramą hotelu przechadzał się człowiek wysoki, zamysłony i ponury; poważne kroki stawał tam i napowrót, nie oddalał się nigdy więcej od bramy, jak na sześćdziesiąt kroków. Mógł mieć lat około pięćdziesiąt, pod pachą trzymał laseczkę; jego czarny sukienny surdut, takż kamizelka i spodnie, jakkolwiek znacznie podszarzone, odznaczały się jednak czystością. Przed wielu osobami zdejmował kapelusz, z czego wniósłem, że o jałmużnę prosi; wzięłem więc kilka su do ręki, w chę-

ci ofiarowania mu ich, gdyby się z prośbą do mnie udał. Przeszedł koło mnie nie wymówiwszy ani słowa, gdy tymczasem uszedłszy pięć lub sześć kroków, zatrzymał się przed jakąś małą kobietą, naprzeciw niego idącą. Więcej od niej miałem podobieństwa, żeby mu jakie mógł ofiarować wsparcie. Tylko co od niej odszedł, zdjął kapelusz przed inną, tąż samą drogą idącą. Po chwili szedł poważnie jakiś stary jegomość, a za nim młody człowiek dobrze ubrany; żadnego z nich nie zaczępił. Z pół godziny patrzyłem na niego, a przez ten czas przeszedł przynajmniej ze dwanaście razy koło bramy hotelu, jednego zawsze trzymając się sposobu.

W tém jego postępowaniu dwie rzeczy wydały się mi szczególnemi, nad którymi napróżno rozmyślałem; raz, co było powodem, że tylko do kobiet się udawał, a potwóre, w jaki on sposób przemawiał by obudzić litość w ich sercu, zdając się być niejako przekonany, że wszelka jego wymowa żadnego współczucia od mężczyzny wywołaćby nie potrafiła.

Dwie jeszcze ważne okoliczności tajemnicę tę tém więcej dla mnie nieodgadnioną czyniły; raz, że nie głośno ale tylko do ucha wszystkim kobietom coś mówił i to w taki jeszcze sposób, że jego słowa więcej tajemnicę, niż prośbę zawierały; drugie, że zawsze coś otrzymał.

Zjawisko to było dla mnie niepojętem. Uważając że zagadka owa stanie się dostateczną do zatrudnienia méj myśli przez cały wieczór, powróciłem przeto do swego mieszkania.

NIEPEWNOŚĆ SUMIENIA.

Mój gospodarz widać tylko czekał na mnie, bo zaledwie drzwi otworzyłem, wszedł do mnie i oświadczył, abym się o inne postarał mieszkanie.

— A to dla czego? mój przyjacielu, zapytałem.

— Dla czego, odpowiedział, nie miałeś pan zamkniętej przez dwie godzin u siebie młodej dziewczyny? To jest przeciwnie prawidłom mojego domu.

— Bardzo dobrze! odpowiedziałem, rozstaniemy się w dobrej zgodzie, gdyż dziewczynie nic się nie stało; ani mnie także, a dom twój zostawię jakim go zastałem.

— Nie potrzeba nic więcej, odezwał się, aby dobrą zniszczyć na zawsze sławę mojego domu; patrz pan, zawołał, wskazując na pomięte łóżko, na którym siedzieliśmy.

Wyznaję, że to miało niejaki pozór rzeczywistości, ale że duma nie pozwalała mi się przed nim tłumaczyć, powiedziałem mu, żeby był spokojny, że nazajutrz zapłacę co mu się należało.

— Nie szło by mi o to, rzekł, chociażbyś pan i dwadzieścia dziewcząt miał u siebie.

— Ależ ja, rzekłem przerywając mu, nawet o jednej nie pomyślałem.

— Byleby to z rana, mówił dalej.

— Czy to w Paryżu różnica w czasie, także różnicę złego stanowi?

— I nawet wielką, co do zgorzenia.

Lubię dobre rozróżnienie, nie mogłem się więc bardzo gniewać na niego.

— Przyznaję, mówił dalej gospodarz, że cudzoziemiec musi mieć sposobność do nabycia koronek, jedwabnych pończoch, mankietków i w tém nie ma nic złego, jeżeli dziewczyna przyniesie to wszystko w pudełku do niego.

— O kiedy tak, to sumienia nasze mogą być spokojne, zawołałem, miała wprawdzie pudełko, ale nawet nie zaglądałem do niego.

— To pan nic nie zakupił? zapytał.

— Zupełnie nic, odpowiedziałem.

— Bo mógłbym panu polecić pewną dziewczynę, która panu sprzedała sumiennie, co byś pan potrzebował.

— A i owszem, ale niech przyjdzie dziś wieczór.

Nizko mi się uklonił i wyszedł.

Teraz odniosę zwycięstwo nad tym człowiekiem, rzekłem do siebie. Lecz coż ztąd za korzyść? Przekonam go że jest podłym i brudnym człowiekiem. A potem, potem? Nadto blisko mnie to dotyczyło abym mógł powiedzieć, że czynię dla drugih. Nie mógłbym odpowiedzieć na to zapytanie. Więcej było w moim zamyśle złego humoru, niż słuszności i nie podobał mi się jeszcze przed wykonaniem.

Po chwili weszła młoda dziewczyna z pudełkiem koronek.

— Nic nie kupię, pomyślałem sobie.

Chciała mi wszystko pokazać, lecz mi się nic nie podobało; jednakże nie uważała na to i rozłożyła cały swój mały magazyn, rozwijała i składała wszystkie koronki po kolei z największą uprzejmością i cierpliwością. Mogłem kupić, lub nie kupić, jakby mi się podobało, ona była gotowa wszystko mi spuścić za cenę, jakąbym sam ustanowił; biedne dziewczę pragnęło coś zarobić, i na wszystkie brała się sposoby, aby mnie ująć dla siebie, i to nie żadnym udaniem lub sztuką, ale miłą prostotą i otwartością.

Jeżeli człowiek nie ma cokolwiek łagodności i powolności któreby go czasem zdradzały, tём gorzej dla niego. Serce moje złagodniało, i tak prędko zmieniłem moje ostatnie postanowienie jak i pierwsze. Za coż karać kogo za cudze przewinienia?

Jeżeli się musisz opłacać temu ciemniejszy gospodarzowi, pomyślałem sobie, patrząc jej w oczy, to żal mi cię biedna dziewczyno.

Gdybym nie więcej jak tylko cztery luidory miał w kieszeni, nie mógłbym się przecież z nią rozłączyć, nie kupiwszy u niej przynajmniej za trzy.

— Ależ gospodarz zyskiem się z nią podzieli, rzekłem do siebie; mniejsza o to. Zapłaciłem tak jak tyłu innych zapłaciło przedemną za uczynek, którego nie mogli popełnić, lub nie myśleli nawet o nim.

ZAGADKA.

Lafleur usługując mi przy kolacyi, oświadczył, że gospodarz bardzo nad tём ubolewał, iż mnie obraził wypowiedzeniem mi mieszkania.

Kto chce spokojnie noc przepędzić, nie powinien udawać się na spoczynek z zawziętością przeciw temu z kim pojednać się może. Kazałem więc Lafleur'owi uwiadomić gospodarza, że mnie samemu było przykro, iż mu dałem powód do tego. — Oświadczył mi przytём, że gdyby owa młoda dziewczyna powróciła, nie będę się z nią widział.

Ofiarę tę nie dla gospodarza, lecz dla siebie samego zrobiłem, gdyż po uniknięciu tak bliskiego niebezpieczeństwa, postanowiłem sobie nie wystawiać się nań więcej i opuścić Paryż tak cnotliwie jak i do niego przybyłem.

— Ależ panie, rzekł Lafleur nisko mi się kłaniając; pan może jeszcze odmieni zdanie. Gdyby się tём panu przypadkiem chciało zabawić?

— Nie znajduję w tём zabawy, rzekłem, nie dając mu dokończyć zaczętą myśl.

— Dobry Boże! zawołał Lafleur, i odszedł na dół by zjeść kolacyą.

Napróżno noc całą myślałem o niej; a obudzwszy się z rana, czułem się być tak strudzonym snami, jak ów król Babilonu swojemi. I z pewnością śmiem utrzymywać, że wszyscy uczeni Paryża, podobnie jak mędrcy Chaldejscy, napróżno usiłowali zagadkę tę wytłumaczyć.

NIEDZIELA.

Po owęj niespokojnej nocy nastąpiła niedziela. Lafleur, który mi przyniósł zrana kawę, bułki i masło, tak był wystrojony, że zaledwie go poznać mogłem.

Przyjmując go do moich usług w Montreuil, obiecałem mu kupić za przybyciem do Paryża nowy kapelusz, ze srebrnym guzikiem i sznurkiem i w dodatku dać cztery luidory na ubranie. Dobry chłopiec cudów dokazał za te pieniądze.

Kupił porządną pąsową suknię i spodnie tegoż koloru i gatunku, bardzo mało noszone. Gniewało mnie to gdy mi powiedział że je kupił na tandecie. Odzież bowiem tak świeżo wyglądała, że chociaż wiedziałem że nie była nowa, chętnie bym sobie wystawiał, że ją raczej umyślnie dla niego zrobić kazałem, niż że wyszła z tandety.

Ale na to w Paryżu nie wiele zwracają uwagi.

Kamizelkę miał atłasową, niebieską, nie złe złotem wyszywaną; wprawdzie była już nieco wytarta, ale jednak dosyć jeszcze pozorna; złoto odczyszczone, lśnido się lepięj teraz, jak kiedykolwiek; a jasny błękit atłasu dobrze się zgadzał z kolorem sukni i spodni. Z tych samych jeszcze pieniędzy kupił sobie worek do włosów i solitera, a w końcu wymęczył nawet na tandeciarzu parę złotych podwiązek. Ze swoich pieniędzy, kupił za cztery franki parę haftowanych mankietek i parę pończoch białych jedwabnych. Do tego wszystkiego czytelniku dodaj kształtną kibić jaką go obdarzyła natura, a która go nie kosztowała, to mieć będziesz wierny obraz Lafleur'a.

Tak więc wystrojony, z włosami najmodniej u fryzowanymi i z pięknym bukietem kwiatów u boku wszedł do mego pokoju. Cała jego powierzchowność przypominała mi natychmiast, że dziś była niedziela. Wnosząc więc z tych obu okoliczności, tojest ze stroju i dnia świątecznego, domyśliłem się zaraz, że to, co mi wczoraj wieczorem nie śmiało powiedzieć, miało na celu uzyskanie pozwolenia, aby dzień dzisiejszy tak przepędził, jak go każdy w Paryżu przepędza. Zaledwie na ten domysł wpadłem, Lafleur zbliżył się do mnie z miną najpokorniejszą, w której jednak widać było ufność że mu nie odmówię, i prosił, abym go na cały dzień od służby uwolnił, dodając, że go chciał poświęcić dla swojej kochanki.

Ja także zamierzylem sobie odwiedzić panią R. W tym celu zamówiłem powóz, i nie małoby to pochlebiało mojej próżności, mieć w tyle za powozem tak wytwornie ubranego służącego.

Lecz w takich drobnych zawadach, trzeba czuć nie rozumować. Służący godząc się, ustępują nam swoją wolność, ale nie naturę. Złożeni oni są równie jak i my z ciała i krwi; mają swoją próżność, swoje żądze, równie jak ich panowie; przedali oni że tak powiem i siebie samych zaparli; ale tём i wymagania ich są niekiedy tak nedorzeczne, że gdyby stan ich nie podawał mi sposobu ich umartwienia, często radbym je zawiódł. Lecz gdy sobie pomyślę że mi mogą powiedzieć: „wiem, że jestem twoim sługą,” czuję się rozbrojonym z mojej władzy.

— Możesz pójść sobie Lafleur, rzekłem.—Ale powiedz mi tём, dodałem, coż to za kochankę sobie w tak krótkim przeciągu czasu w Paryżu wynalazłeś?

Lafleur, miał serce stworzone do społeczności, a mówiąc prawdę, równie rzadko jak pan jego, opuszczał dobrą sposobność. Właśnie kiedy ja starałem się o pozyskanie paszportu, on zapoznał się z panną na schodach, i w tym samym przeciągu czasu, w którym ja potrafiłem ująć sobie hrabięgo, on zdołał pozyskać serce dziewczyny. Umówili się z sobą, że w niedzielę miała przyjść do Paryża z kilkoma osobami z domu hrabięgo. Lafleur miał

się z niemi w mieście połączyć i część dnia przepędzić z nią na bulwarach.

O ludu szczęśliwy! ty możesz raz przynajmniej w tydzień zrzucić z twojego serca wszystkie troski; skacząc śpiwając i żartując znośisz brzemień trudów, które innych ludzi do ziemi przyniatają.

NIEPRZEWDZIANE ZATRUDNIENIE.

Lafleur nie spodziewając się nawet, zostawił zabawkę która mnie przez cały dzień zajęła.

Przyniósł mi był masło na liściu figowym, a że już z rana było gorąco, kazał sobie podać do obwiniecia arkusz niepotrzebnego papieru. Gdy papier służył w miejsce talerza, kazałem mu wszystko na stole położyć. Pozwolenie udzielone Lafleur'owi, zatrzymało mnie w domu przez dzień cały. Kazawszy mu zamówić obiad, odprawiłem go jeszcze przed śniadaniem.

Zjadłszy masło, wyrzuciłem liść figowy przez okno; to samo chciałem uczynić z papierem, lecz przeczytany wiersz jeden i drugi podniecił moją ciekawość. Zamknąłem przeto okno, przysunąłem do niego krzesło i usiadłszy na niemi, czytać zacząłem.

Była to stara francuzczynna z czasów *Rabele'go*, a może nawet coś z jego utworów. Litery gotyckie, przez czas i wilgoć tak się zatarły, że z trudnością czytać je mogłem. Odrzuciłem przeto papier na bok i zacząłem pisać list do Eugeniusza. Lecz potem wziąłem go znowu do ręki. Znowu zniecierpliwiony napisałem list do Elizy; ale stary szpargał nie wychodził mi z myśli; przeciwnie, trudność przeczytania ciekawość moją zaostrzała.

Zjadłem obiad, a zagrawszy głowę buteleczką burgunda, jeszcze raz wziąłem się do szpargału. Nareszcie po dwóch lub trzech godzinach tak mozolnej i natężonej uwagi, z jaką niegdyś *Gruter* i *Jakób Spon* zastanawiali się nad dociečeniem myśli jakiego niedorzecznego napisu, zdawało się mi że rozumiem to, co czytam. Lecz aby się o tém lepiej przekonać, uznałem za najwłaściwsze, przełożyć to na język ojczysty, dla uznania jakby się to wydawać mogło. Wziąłem się do tego z wszelkimi wygodami, jak człowiek piszący maxymy: to napisałem zdanie, to się przechadzałem po pokoju, to znowu oknem wyjrzałem. Wreszcie o dziewiątej godzinie wieczorem, skończyłem swoją pracę i czytałem co następuje:

UCINEK PISMA.

Otóż, gdy żona notaryusza spierała się z nim o to zbyt żywo, chciałem, rzekł mąż rzucając pargamin, — żeby tu był inny jaki notaryusz i sporządził akt tego wszystkiego.

— I cóżbyś wtenczas uczynił? zapytała go zrywając się nagle z krzesła. Żona notaryusza była kobieta próżna i popędliwego charakteru; dla tego też notaryusz uznał za najlepsze, schronić się przed burzą i łagodnie odpowiedział.

— Chętnie poszedłbym do łóżka.

— Możesz sobie iść i do diabła! zawołała żona.

A że w całym domu jedno tylko było łóżko, gdyż stósując się do zwyczaju w Paryżu, żaden inny pokój nie był w nie opatrzony, a notaryusz nie chciał spać w jedném łóżku z żoną, która go do diabła wysyłała, wziął przeto kapelusz, laskę i płaszcz, bo noc była wietrzna, i z bólem serca udał się ku *Pont-neuf*.

— Ze wszystkich mostów, które kiedykolwiek zbudowano, *Pont-neuf*, należy wyznać, jest najpiękniejszym, najwspanialszym, najdłuższym i najszerszym, jaki kiedy łączył dwa brzegi ładu na tej ziemnowodnej kuli.

Z tego opisu mostu, łatwo wniesć można, że autor ułomku niniejszego nie był Francuzem.

Jeden zarzut, jaki teologowie i doktorowie *Sorbonny* temu mostowi uczynić mogli, jest ten, że skoro wiatr w Paryżu, nie było miejsca gdzieby go bardziej przeklinano jak na nim. I to jest rzeczywista prawda, tak on tam nagle i gwałtownie wieje, że z pięćdziesięciu osób, przez niego przechodzących, nie ma ani jednej, któraby czegoś nie straciła, lub nie pokazała niechętnie.

Biedny notaryusz, przechodząc właśnie koło szylwachy, mimowolnie rękę w której laskę trzymał popodniósł do głowy, by kapelusz od szwanku uchronić, ale podnosząc laskę, uderzył nią o kapelusz żołnierza i zrzucił przez poręcz do Sekwany.

— Oto powiew wiatru! rzecze siedzący w czolnie przewoźnik, uchwyciwszy kapelusz.

Żołnierz Gaskończyk wpadł w złość, pokręcił wąsa, i przyłożył się do rusznicy.

W owych czasach zapalano jeszcze strzelby lontami. Wiatr, który większe jeszcze figle płać lubi, zgasił był papierową latarnią kobiety, a ta pożyczyla sobie od żołnierza lontu aby ją zapalić. Ta okoliczność dała ostudzić nieco krew Gaskończyka, co mu przyniosło korzyść. Pobiegł za notaryuszem, a zerwawszy mu z głowy kastorowy kapelusz: — oto powiew wiatru zawołał, usprawiedliwiając swoją grabież słowami wioslarza.

Biedny notaryusz, przeszedł przez most nie rzekłszy ani słowa; lecz przybywszy na ulicę *Dauphine*, ubolewając zaczął nad swoim losem:

— O ja nieszczęśliwy! Czyż całe życie będę igraszką burz i nawałnic, wiatrów i piorunów? Czyż na to jestem zrodzony, abym gdzie tylko się obróć, miał słyszeć grom obelg i przekleństw, miotanych przeciw mnie i moim współbraciom? Czyż takie moje przeznaczenie, abym zmuszony był piorunami kościola do zawarcia ślubów małżeńskich z kobietą gorszą od jędzy, wypędzony z domu burzą domową, i przez wiatr na moście pozabawiony kapelusza? Otóż jestem wystawiony z gołą głową wśród burzliwej nocy na wszystkie przygody; gdzież się schronię? O ja nieszczęśliwy! Któryż przynajmniej z wszystkich trzydziestu dwóch wiatrów, przeniesie pieńców od moich współbraci do mnie?

Gdy tak narzekając, przechodził przez ciasną i ciemną uliczkę, dał się słyszeć głos wołający na dziewczynę, aby pobiegła i sprowadziła najbliższego notaryusza. A że nasz notaryusz był teraz najbliższy i z okoliczności korzystać umiał, wszedł więc do domu, z kąd głos pochodził, przeszedł wielką, staroświecką salę i został wprowadzony do obszernego pokoju zupełnie próżnego; na ścianach tylko w równych od siebie odstępach pozawieszane były niektóre przedmioty, jako to: długa włócznia, kirys, stary zardzewiały pałasz i pas rycerski.

Jakiś stary człowiek, niegdyś szlachcic i który nim był dotąd, jeżeli niedola i ubóstwo nie pociągają za sobą utraty szlachectwa, leżał w łóżku z głową wspartą na rękę; przed nim stał stolik, na którym świeca się paliła, a obok stolika krzesło. Notaryusz usiadł na niemi, wydo był z kieszeni rogowy kałamarz i kilka arkuszy papieru; i położył to wszystko na stoliku. Umoczywszy pióro, nachylił się nad papierem i czekał żeby mu szlachcic zaczął dyktować testament.

— Niestety! panie notaryuszu, odezwał się szlachcic; nie pozostawiam żadnej spuścizny, nawet takiej, coby pokryć mogła koszta spisania testamentu; nie, prócz opisu przygód mojego życia. Nie umarłbym spokojnie, gdybym go światu nie mógł zostawić. Korzyść ztąd wyniknąć mogącą, zapisuję panu w nagrodę jego pracy. Jest ona tak nadzwyczajna, że wszyscy ją czytać powinni. Ona przyniesie szczęście dla ciebie i twego domu. Tu pisarz znowu zmaczał pióro w swoim kałamarzu.

— Wszemocy rządco wszystkich wypadków mojego życia! zawołał stary szlachcic wznosząc wzrok i ręce ku niebu; — o Ty! którego ręka przez taki labirynt dziwnych przygód, przywiodła aż do terazniejszej chwili boleści, wspieraj słabą pamięć strapionego starca, kieruj mój język duchem odwiecznej prawdy, iżby ten obcy człowiek nie napisał nic, oprócz tego, co by już było zapisaniem w owej niewidzialnej księdze, która mnie potępi lub usprawiedliwi!

Notaryusz przysunął bliżej świecę i obejrzał koniec pióra, chcąc się przekonać czy nie osiadł na niem jaki proszek lub włos, co by mógł przeszkodzić pisaniu.

— Ta powieść, mości notaryuszu, dodał umiérający, wzburzy wszystkie uczucia w piersiach człowieka litościwego. Strapi serca pełne ludzkości; serca najtwardsze i najokrutniejsze strapi politowaniem.

Notaryusz płonął z niecierpliwości, by ową powieść jaknajprędzej zacząć; po raz trzeci w atramencie pióro umoczył, a umiérający szlachcic przybliżywszy się więcej do notaryusza, zaczął dyktować to co następuje:

— Gdzież reszta? zapytałam Lafleur'a, wchodzącego właśnie w tej chwili do pokoju.

BUKIET KWIATÓW.

— Reszta! powtórzył Lafleur, wyrozumiawszy o co rzecz chodzi; dwa tylko arkusze tego pisma było i z tych jednym obwinąłem bukiet kwiatów, który ofiarowałem mojej pannie!

— Idźże więc, mój Lafleur, proszę cię, idź do niej i zobacz czy nie mógłbyś go dostać.

— Pewnie go ona jeszcze mieć będzie, zawołał. I spieszenie pobiegł.

Pocziwy chłopiec niebawem powrócił cały zadyszany, a na twarzy jego malował się wyraz zmartwienia, głębszego, niżby go sama strata pisma trapiła. Sprawiedliwe nieba! zawołał, za ledwie kwadrans upłynął od czasu, kiedyśmy się najczuliej pożegnali, a ona, przemieńcza kochanka, oddała zakład mojej czułości kamerdynerowi hrabiego, ten go dał znowu młodej szwaczce, ta skrzypkowi, ostatni zaś nie wiem gdzie podział.

— Ale cóż mnie obchodzi twój bukiet, rzekłem, powiedz mi co się stało z owym arkuszem, czy i on tegoż samego doznał losu?

— Tak panie, odpowiedział Lafleur, i ciężko westchnął.

— Nasze więc nieszczęścia, rzekłem, razem się złączyły.

— Jaka niewierność! zawołał Lafleur.

— Jakie nieszczęście! dodałem.

— Nie bolałoby mnie gdyby go była zgubiła, przemówił Lafleur. Ani mnie także, mój Lafleur, rzekłem, gdybym go znalazł.

Czy znalazłem ów arkusz, zobaczymy później.

UCZYNEK MIŁOSIERNY.

Człowiek, który nie śmie wejść w miejsce ciemne może być człowiekiem najlepszym w świecie, ale nigdy nie będzie dobrym *sentymentalnym* podróżnym. Mało dbamy o to, co się dzieje w oczach wszystkich na ulicy szerokiej i wolnej. Natura jest skryta i niechętnie przy świadkach działa. Ale czasami na ustroniu i w ciasnym kątku można widzieć jej krótkie sceny, daleko więcej warte jak wszystkie uczucia z dwunastu tragedji francuzkich razem zebrane. A jednak są one wyborne, tak kaznodzieje jak i rycerze i królowie z nich korzyść osiągnąć mogą; i kiedy chcą napisać świetniejsze niż zwy-

kle kazanie, czytają je i niewyczerpane w nich źródło znajduję: *Kappadocya, Pont, Azya, Frygia, Pamfilia*, równie dobrych jak biblia dostarczają textów.

Jest długie, wązkie i ciemne przejście które prowadzi z teatru *Opéry komicznej* do ciasnej uliczki. Rzadko tamtędy kto przechodzi wyjąwszy tylko tych, którzy cierpliwie na fiakra oczekują, lub też zaraz po skończonym przedstawieniu spokojnie pieszo do domu wracają. Koniec tego przejścia, oświeca od strony teatru lampa, której słabe światelka giną nim ujdiesz połowę drogi. Światelko to mało jest użyteczne i więcej służy do ozdoby. Wydaje się bowiem zdala jak gwiazdka stała, średniej wielkości; błyszczy, a światu żadnej nie przynosi korzyści.

Idąc tym przejściem, ujrzałem o kilka kroków ode drzwi, dwie damy trzymające się pod ręce; stały tyłem do muru obrócone i zdawały się oczekiwać na fiakra. Że były bliżej, sądziłem, że mają prawo pierwszeństwa; zatrzymałem się przeto w tyle o parę kroków za niemi. Czarna moja suknia nie łatwo mnie spostrzedz dawała.

Dama bliżej mnie stojąca, była wysoka, chuda, około lat trzydziestu sześciu; druga teje postaci i wzrostu mogła mieć lat czterdzieści. Z ich powierzchowności żadnym sposobem wnieść nie było można, czy były mężatki, czy też wdowy, lub panny. Zdawały się raczej być dwiema siostrami, kapłankami *Westy*, którym ani język miłości, ani pieszczoty kochanków zarówno nie były znane. Szczerze pragnąłbym uczynić je najszczęśliwszymi; ale ich szczęście miało do nich tego wieczora z inną zawitać strony.

Jakiś głos przyjemny, w dobranych wyrazach dał się słyszeć i błagał je na miłość Boga o dwanaście su. Dziwnem mi się wydało, że proszący o jałmużnę, sam oznacza ilość takowej i że ta dwanaście razy większą być miała, jak się w ciemności dawać zwykła. Obie damy niemniej jak ja zdziwione tém zostały. Dwanaście su! — rzekła jedna. — Dwanaście su, powtórzyła druga, nie dając odpowiedzi proszącemu.

— Nie wiem, rzekł ubogi, czyli od osób tej godności jak panie mniejszego datku wymagać mogę.

— Idź, idź sobie, nie mamy drobnych, powiedziały razem. Żebrak umilkł na chwilę, znowu ponowił prośbę.

— O piękne panie nie zatykajcie uszu waszych na głos biednego.

— Ależ mój przyjacielu, odpowiedziała młodsza, nie mamy wcale drobnych.

— Niech Bóg wam błogosławi, dobre panie, przemówił i tysiącrotnie pomnoży wasze roskosze i obsypie was swemi dobrodziejstwami.

Starsza sięgnęła ręką do kieszeni. — Zobaczę, rzekła, czy nie mam jeszcze jednego su. Jednego su! powtórzył biedny; ach proszę, zlituj się pani i daj dwanaście. Natura szczerą dla ciebie pani się okazała, dla czegoż ty nie chciałabyś okazać się szczerą dla biednego człowieka.

— Z największą chęcią dałabym ci, gdybym tylko pieniądze miała, rzekła młodsza.

— Piękności litościwa, rzekł do starszej, czyliż twoje miłosierdzie i dobroć twoim cudnym oczom nie użycza tak świetnego blasku i czyliż to nie było powodem, że margrabia de Santerre i brat jego, tedy przechodząc niedawno, o was panie, z takim zapalem mówili?

Na te słowa, obie damy zdawały się być wielce wzruszone; i obie razem mimowolnie sięgnęły do swoich kieszeni i każda wyjęła żadaną kwotę.

Spór z żebrakiem został skończony, każda z nich włożyła mu w rękę swój pieniądz i żebrak odszedł.

WYJASNIENIE ZAGADKI.

Pobieglem coprędzaj za nim i z zadziwieniem przekonałem się, że to był ten sam człowiek, którego widziałem przed hotelem Modeńskim i który taką ciekawość we mnie obudził. A tak odkryłem jego tajemnicę, a przynajmniej jej podstawę, tą zaś było: *pochlebstwo*.

Roskoszna woni! jak dzielnie orzeźwiasz naturę! Jakżeż poruszasz wszystkie jej siły i słabości na swoją korzyść! Z jakąż łagodnością przenikasz do krwi i ułatwiasz najzawilsze przeszkody w jej biegu do serca!

Człowieka tego tutaj czas nie naglił, hojniej więc szafował pochlebstwem i większą kwotę mógł wymóżyć. Lecz w naglejszych przypadkach potrafił on mówić i krócej, jak naprzykład na ulicy. Lecz jak to czynił? Nie chcę się męczyć odgadnieniem tego. Dość mi wiedzieć że zyskał dwadzieścia cztery su. Niechaj ci, którzy majątek pochlebstwem zrobili, wyłożą resztę: lepiej pewnie dokażą tego odemnie.

PROBA.

Posuwamy się naprzód na świecie nie dla tego, że drugim usługi wyświadczamy; ale dla tego że je od drugich przyjmujemy. Bierzemy jaki zwiędły odrostek, zasadzamy go w ziemię i polewamy dla tego jedynie, żeśmy go sami zasadzili.

Hrabia de B. który wyjednał mi paszport, był mi jeszcze i dalej grzecznym. Mając zabawić kilka dni w Paryżu, zapoznał mnie z kilkoma znaczniejszymi osobami; te zaznałomiły mnie z innymi, a ci znów z drugimi i tak dalej.

Właśnie w sam czas dociekleń owę tajemnicę, aby te zaszczytne względy więcej dla siebie korzystnymi czynić! Bez tego byłbym może, jak to się najczęściej zdarza, raz lub dwa najwięcej na obiad lub wieczór zaproszony, a tłumacząc sobie swoim zwyczajem francuzkie ruchy i spojrzenia na angielskie, postrzegłbym za każdym razem, że sobie przywłaszczyl miejsce u stołu, przeznaczone dla którego z gości lepiej bawiących towarzystwo odemnie. Tym sposobem byłbym wszystkie miejsca, jedne po drugim musiał opuścić, jedynie dla tego, żebym ich utrzymać nie musiał. Sekret więc mój tak dobrze skutkował iż rzeczy nie źle poszły.

Naprzód wprowadzono mnie i przedstawiono staremu margrabiemu de L. Świetnie odznaczył się on niegdyś czynami walecznymi na dworze Cytery i dotąd zachował on pamięć igrzysk i turniejów. Nie dość że sam był tego pochlebnego o sobie przekonania, ale chciał jeszcze żeby i inni uważali go za *bohatera*.

— Muszę zrobić, mówił, wycieczkę do Anglii i bliżej poznać Angielki.

— Zostań pan lepiej gdzie jesteś, rzekłem. Panowie angielscy z wielką trudnością od dam naszych przyjazne otrzymują spojrzenia!

Margrabia zaprosił mnie na wieczerzę.

Pan P. główny dzierżawca dochodów skarbowych, zadawał mi tysiące pytań odnoszących się do podatków i poborów w Anglii.

— Słyszę, mówił, iż są bardzo znaczne.

— Tak jest, odpowiedziałem z niskim ukłonem, ale pan byś nam powinien wyjawić sekret ich zbierania.

Pan P. nigdy by mnie inaczej nie zaprosił na koncert do swego wiejskiego domu.

Powiedziano pani de Q. o mnie że byłem dowcipnym. Pani de Q. sama była dowcipną kobietą; z niecierpliwością pragnęła mnie widzieć i słyszeć. Zaledwie usiadłem przy niej zaraz poznałem, że wcale nie o to jej cho-

dziło czy ja mam dowcip lub nie. Wprowadzono mnie do niej, abym się przekonał, że ona go miała. Świadcę się niebem, że ani ust nie otworzyłem.

Pani Q. jednak wszystkich zapewniała, że nigdy jeszcze w życiu swoim ucześniejszej, jak ze mną nie prowadziła rozmowy.

Trzy są epoki w panowaniu kobiet francuzkich. Najprzód każda z nich jest *zalatnicą*, potem *deistką*, a w końcu *dewotką*. Panowanie ich wciągu tych trzech okresów jest niezachwiane, zmienia tylko poddanych. Z trzydziestym piątym rokiem, a dwudziestym panowania, niewolnicy miłości znikają, po nich następują niewolnicy niedowiarstwa, a nakoniec niewolnicy kościoła.

Pani Q. zbliżała się już do drugiego okresu; różę na jej policzkach nieco zwiędły i zapewne jeszcze przed pięć laty, powinna była zostać deistką kiedy jej pierwszą oddałem wizytę.

Posadziła mnie przy sobie na kanapie, chcąc swobodniej pomówić ze mną o religii. Po kilku chwilach rozmowy, dała mi poznać że w nic wcale niewierzy.

— Nie wątpię wcale, odpowiedziałem, że to są pani zasady; nie sądzę jednakże, abys pani miała na celu niszczyć zewnętrzne szańce, bez których nie pojmuję jak swoją twierdzę obronisz. Nie ma nic niebezpieczniejszego dla pięknej kobiety, jak zostać deistką; a ja sobie za obowiązek poczytuję, zwrócić jej na to uwagę, gdyż zaledwie pięć minut obok pani siedzę, a już powziąłem zamysły które tylko uczucie religijne i to przekonanie, że i pani to uczucie w swoim sercu pieścisz, we mnie stłumnić zdołało.

— Nie z dyamentu jesteśmy, rzekłem, ujawszy jej rękę, i dopóki wiek uczuć w nas nie oziębi, potrzeba nam przymusu. Lecz pani, dodałem całując ją w rękę, nadto wczesnie... nie przyszedł jeszcze czas dla niej.

Mogę śmiało powiedzieć, że w całym Paryżu uchodziłem za człowieka, który panią Q. nawrócił. Znalazszy się raz w towarzystwie pana D. i księdza M. upewniła ich najuroczyściej, że jej w pół godziny więcej na korzyść religii objawionej powiedziałem i dowiodłem, jak wszelkie dysputy religijne i wszystkie encyklopedye które oni przeciwko niej napisali. Pani Q. wciągnęła mnie natychmiast do swojej kotery i epokę swoją deizmu jeszcze na dwa lata odłożyła.

Przypominam sobie, że gdy raz będąc u niej, usiłowałem dowieść zgromadzeniu koniecznej potrzeby *pięć lat przyciszy*. Młody hrabia de F. wziął mnie za rękę i na bok odprowadził.

— Nie uważałeś pan zapewne że twój worek od włosów, bardzo ściśniony; trzeba żeby wolniej igrał, tak jak moj; mądrę głowie, dość na słowie, panie Joriku!

— A od mądrego dość jednego słowa panie hrabio, odrzekłem z ukłonem.

Hrabia de F. uściskał mnie serdeczniej niż ktokolwiek w życiu.

Przez trzy tygodnie byłem jednego zdania ze wszystkimi. Tam do kata, mówiono, ten pan Joryk doprawdy również jak i my jest dowcipny.

— Rozumuje przedziwnie, mówił drugi.

— Nie można być lepszym w towarzystwie, dodał trzeci.

Tym kosztem mogłem jeść i pić we wszystkich domach w Paryżu i pędzić jaknajprzyjemniejsze życie. Lecz jakież to rzemiosło? wstyd mi go było; była to rola najnikczemniejszego z niewolników. Uczucie dumy obrzyło się naprzeciw temu. Im wyższe były towarzystwa w których się znajdowałem, tym więcej przymuszony byłem używać środków jakich się chwycił żebrak z przed hotelu Modeńskiego. Im więcej wstawione zgromadzenie,

tém więcej uczęszczały na nie dzieci sztuki, a ja tęskniłem za dziećmi natury; i gdy pewnej nocy poniżyłem się niegodnie przed kilkunastu najznakomitszymi osobami Paryża, poczułem się chorym. Natychmiast kazałem Lafleur'owi zamówić konie na poczie i nazajutrz rano wyjechałem do Włoch.

MARYA.

Aż do tej chwili nie czułem najmniejszego kłopotu, jaki częstokroć sprawiają bogactwa. Lecz cóż za widok dla podróżnego gdy przejeżdża przez *Burbonję*, w czasie winobrania; kiedy natura zléwa swe dary na pracowitego wieśniaka i gdy wszystko oddycha radością. Jakże byłem zachwycony tą podróżą! Za każdym krokiem muzyka zachęca dzieci pracy do zajęcia i wszyscy radośnie igrając znoszą winogrona do beczek.

Dwadzieścia tomów mógłbym zapełnić temi obrazami przyrody, a tu niestety! załedwie kilka kartek na to mi pozostaje i to jeszcze połowę z nich muszę poświęcić biednej *Maryi*, którą przyjaciel mój Shandy w pobliżu *Moulins* napotkał.

Czytałem z rozrzewnieniem udzielony mi przezeń opis nieszczęść biednej dziewczyny, skutkiem których dostała obłąkania. Znajdując się w okolicy w której żyła, obraz jej tak żywo stanął przed memi oczyma, że się nie mogłem oprzeć chęci zboczenia o pół mili do wioski, gdzie mieszkali jej rodzice, dla powzięcia o niej wiadomości.

Wyznaję, że to był postępek rycerza smutnej postaci, melancholicznych przygód szukającego. Nie wiem jak się to dzieje, nigdy przecież żywiej nie uczuвам w sobie duszy, jak wtedy, kiedy na podobne przygody natrafiam.

Stara jej matka wyszła naprzeciw mnie do drzwi; z jej twarzy wyczytałem wszystko wprzód, nim jeszcze usta otworzyła. Mąż jej, umarł przed miesiącem ze zmartwienia nad obłąkaniem Maryi; — z początku, dodała, ja sama byłem w wielkiej obawie, aby to nieszczęście nie pozabawiło ją reszty pozostałego jej jeszcze rozumu; lecz przeciwnie, zdaje się, że teraz nieco zaczyna do siebie przychodzić, lubo zawsze — z płaczem wyrzekła — biedna moja córka ciągle się gździeć około wioski błąka.

Czemuż puls bije tak mi słabo, kiedy kreślę te wyrazy? czemu Lafleur, z natury tak wesoły, w czasie tego opowiadania staruszki dwa razy ręką oczy ocierał?

Kazałem pocztylionowi zwrócić się na gościniec.

O pół mili od *Moulins* na wązkiej ścieżce prowadzącej do gaiku, spostrzegłem Maryą siedzącą pod topolą, z łokciem opartym na kolanach, a głową pochyloną na ręce. Niedaleko drzewa płynął mały strumyk.

Kazałem pocztylionowi jechać prosto do miasta, a Lafleur'owi zamówić dla mnie wieczrę, dodając, że za chwilę piechotą za niemi nadejdę.

Marya ubrana była białą, na piersiach miała wstążkę blade zieloną, która przepasując jej ramię, spadała do pasa; na końcu jej wisiał flecik. Miejsce kozy która podobnie jak kochanek stała się jej niewierną, zastąpił teraz piesek sznurkiem przywiązany do ręki. Gdym spojrzał na pieska, przyciągnęła go sznurkiem do siebie. *Sylwio!* ty mnie nie porzucisz, zawołała. Utkwiłem wzrok mój w nieszczęsną dziewicę i poznałem, że więcej o ojcu, niżeli o kochanku i kozie myślała, bo mówiąc te słowa strumieniem łez się zalała.

Siadłem tuż przy niej i pozwoliła otrzeć je chustką. Z kolei otarłem i moje, potem znowu jej łzy jeszcze, i takich w tej chwili błogich, niewypowiedzianych uczuć doznałem, jakich połączenie matery z ruchem zrodzić nigdy nie zdoła.

O! pewien jestem, że mam duszę. Materyaliści i wszystkie ich książki które świat zarzucili i zarazili, jej bytności zaprzecić mi nie mogą.

JESZCZE MARYA.

Gdy się nieco uspokoiła, zapytałem jej, czy sobie nie przypomina bladego, chudego mężczyzny, który przed dwoma laty siedział między nią i jej kozą. Odpowiedziała mi, że wówczas mocno miała rozum wstrząśnięty, jednakże przypomina go sobie z dwóch przyczyn; raz, że widziała że ów mężczyzna litował się nad nią, powtóre, że mu koza skradła chustkę z kieszeni, za co ją wybiła. Wyprała potem tę chustkę w strumyku, i schowała do kieszeni dla oddania mu jej za zobaczeniem, co mi, rzekła przyrzekł w połowie.

Dostała chustkę z kieszeni, aby mi ją pokazać; starannie zawiniętą była w liście winne i obwiązana rokowiną. Gdy ją rozwinęła, dostrzegłem na jednym rogu literę S.

Opowiadała mi dalej, że zwidziała Rzym, obeszła do kościoła św. Piotra, że sama bez przewodnika drogę przez Apeniny znalazła i podróż przez Lombardję bez pieniędzy, a przez kamieniste góry Sabaudyi bez obuwia odbyła; jednakże jakim sposobem trudy te pokonała i jak jej pomoc udzielano, tego weale nie pamięta; ale Bóg, dodała w końcu, łagodzi wiatr dla świeżo ostrzyżonej owieczki.

— I do żywego ostrzyżonej! odpowiedziałem. Ach! gdybyś w moim kraju była, gdzie moja własna chatka, byłbym cię do niej wprowadził, skryłbym cię od przypadków, pożywałabyś mój chleb i piła z mojego naczynia; miałbym staranie o twoim Sylwio, a w chwilach twojego obłąkania wychodziłbym cię wyszukać i przyprowadzał strudzoną do domu. Przy zachodzie słońca odmówiłbym wieczorną modlitwę, po niej zagrałabyś wieczorną twą piosnkę na fleciku. Ofiara moja przyjemniejsza byłaby niebu, bo połączona z ofiarą serca przesytego hołdścią.

To mówiąc rozczuliłem się do łez, a Marya widząc, że dobyłem chustki z kieszeni zbyt już zmoczonej od łez, chciała ją wyprać w strumyku.

— Ale gdzież ją wysuszysz Maryo? zapytałem.

— Na mojem łonie, to mi ulgę przyniesie, odpowiedziała.

— Czyż twoje serce jeszcze tak gorące?

Dotknąłem najboleśniejszej strony duszy. Przez chwilę utkwiała we mnie obłąkane oczy, potem nie wymówiwszy ani słowa, wzięła swój flet i zagrała na nim hymn do Najświętszej Panny. Z uspokojeniem drgania dotkniętej przezemnie struny, Marya przyszła do siebie, puściła na piersi flecik i wstała.

— Dokądże idziesz luba Maryo? zapytałem?

— Do *Moulins*, odpowiedziała.

— Dobrze, to pójdziemy razem, dodałem.

Wzięła mnie pod rękę, popuściła sznurka, aby piesek swobodniej mógł iść za nami i tak stanęliśmy w *Moulins*.

Jakkolwiek nie lubię publicznych pożegnań, zatrzymałem się przecież dla pożegnania Maryi.

Marya nie była wysoka lecz kształtna; smutek nadawał twarzy coś niebiańskiego. Rysy twarzy miała delikatne, słowem wszystko, co kobietę czyni tak powabną i gdyby kiedy odzyskała rozum, a rysy *Élizy* zatarły się w moim umyśle wówczas Marya nietylko by chleb mój pożywała i z mojej czarki piła, lecz przytuliłbym ją do mego łona i za córkę przyjął.

Bądź zdrowa nieszczęśliwa Maryo! Przyjm oliwę i wino, które litość podróżnego cudzoziemca, wylewa na twoje rany, bo tylko Ten może je wyleczyć, co ci je zadał.

BURBONIA.

Sądziłem że wesołość i radość napełnią moje serce, ujrawszy *Burbonię* podczas winobrania lecz widok bole-

ści, który na samym wstępie spotkałem, nieczułym mnie na nie uczynił.

— Czulości! niewyczerpane źródło wszystkiego co tylko szacowném jest w naszych roskoszach i drogiém w naszych smutkach, ty więzisz męczennika na słomianém łożu, lub go do nieba podnosisz! Wieczyste źródło uczuć naszych! twoje to bóstwo sprawia te uczucia we mnie. Nie żeby w nieszczęsnych chwilach, moja dusza nie upadała i nie przeraziła się widokiem zniszczenia, pyszne to są tylko słowa! ale czuję sam w sobie że za tém zniszczeniem nastąpią roskosze i najślodsze starania. Wszystko od ciebie bierze początek Ty wielki Twórco natury! Ty pierwsza świata przyczyno! Ty twarde serca miękczysz i przejmujesz uczuciem litości na niedolę bliźnich.

WIECZERZA.

Podkowa odpadła u przedniego kopyta konia dyszlowego, gdyśmy wjeżdżali pod górę *Turara*; poczytliwni

Zaledwieśmy znowu kilkaset kroków pod górę ujechali po kamienistym gruncie, biedne zwierze i drugą podkowę straciło. Wysiadłem natychmiast z powozu, a postrzegłszy o ćwierć mili prawie jakieś zabudowania, kazałem poczytliwni skierować konie w tę stronę.

Powierzchność domku i wszystko co go otaczało, kazało mi zapomnieć o tej przygodzie. Był to piękny folwarczek, otoczony niewielką winnicą i dwudziestu morgami gruntu ornego. Przy samym domku był ogródek warzywny. Z drugiej strony rozciągał się mały laszek. Osma godzina była gdyśmy tam przybyli. Zarządzenie złemu zostawiłem poczytliwni, sam zaś prosto wszedłem do mieszkania.

Cała rodzina składała się z siwego starca, z jego żony, pięciu lub sześciu synów i tyluż zięciów, ich żon i gromady wesołych dzieci.

Wszyscy siedzieli przy wieczerzy, składającej się z soczewicy; na środku stołu leżał spory bochenek pszennego chleba, a butelka wina na każdym rogu zapowiadała wesołość w czasie wieczerzy. Była to uczta miłości.

Starzec natychmiast powstał i zbliżył się do mnie z powitaniem, po czém z największą uprzejmością zaprosił mnie do stołu. Serce moje już było z niemi usiadło, jak tylko wszedłem do izby; usiadłem więc, jakby jedno z dzieci rodziny, a chcąc jeszcze powiększyć to podobieństwo, wzięłem nóż od starca i ukroiłem spory kawałek chleba. Oczy wszystkich na mnie zwrócone zdawały mi się mówić że nie tylko mi radzi byli, lecz że mi dziękowano nawet iż o tém nie wątpiłem.

Naturo! powiedz mi z kąd to pochodzić może, że ten chleb tak mi smakował, i jakaż siła czarodziejska działać to mogła, że to wino, które z niemi piłem, tak było przyjemnem, przyjemniejszem stokroć od tego jakie kiedykolwiek piłem w pysznych pałacach, na stołach uginających się pod ciężarem srebra i kryształów?

Wieczera podobała mi się bardzo.

DZIEKCZYNIENIE.

Po skończonej wieczerzy, staruszek trzonkiem noża w stół uderzył. Był to znak wstania od stołu i przysposobienia się do tańców. Skoro tylko ów znak upragniony posłyszano, mężatki i dziewczęta pobiegły do pobocznej izby, aby się nieco ogarnąć i włosy ułożyć, a mężczyźni i chłopcy ku drzwiom zmierzili, dla umycia twarzy i odniany obuwia. W kilka chwil byli na małym trawniku przed domkiem. Staruszek i jego żona wyszli na samym ostatku; i posadzili mnie pomiędzy sobą na kanapie darniowej przed samymi drzwiami domu.

Staruszek w swojej młodości nieźle grał na wiole i jeszcze teraz nie najgorzej na niej wygrywał. Żona mu śpiewem wtórowała, a dzieci i wnuki tańczyli.

W drugim tańcu z przerw w poruszeniach gdy wszyscy oczy ku niebu wznosić się zdawali, postrzegłem iż to podniesienie nie z wesołości, lecz z innej pochodziło przy-

czyny. Zdawało mi się widzieć połączenie niejako religii z tańcem. Lecz że podobne złączenie nigdy się mi jeszcze widzieć nie dało byłbym i to nareszcie poczytał za skutek złudzenia zmysłów, które już mnie nieraz oszukały, gdyby mi staruszek po skończonym tańcu nie był powiedział, że to u nich jest oddawna przyjętym zwyczajem, wychodzić po wieczerzy z całą rodziną na podwórze dla zabawy i tańców, gdyż według jego przekonania, radosne i wesołe serce najlepszym jest podziękowaniem, jakie nieoświecony wieśniak Stwórcy złożyć może.

— Nietylko nieoświecony wieśniak, ale i najuczciwszy prałat, dokończyłem.

ZBYTECZNA SKROMNOŚĆ.

Stanąwszy na szczycie góry *Turara* zwanéj, cały Lyon w dole leżący, okiem ogarnąć można. Tu koniec prędkiej jeździe, odtąd potrzeba jak najwiękšej ostrożności; nawet i uczucia swoje bardziej poskramiać należy i nie zbyt

popuszczać im wodze. Zrobiłem przeto ugodę z moim woźnicą, aby się wcale nie śpieszył i jak można najwolniej, przewiózł mnie zdrowo i całego do *Turyngu*.

Sabaudezcy są biedni ale cierpliwi, spokojni i uczciwi. Nie lękajcie się niczego wieśniacy tego kraju! świat wam nie zazdrości waszego ubóstwa, tego skarbu prostych cnót waszych. Naturo! nawet wśród twoich nieładów, działasz przyjaźnie jeśli nierozrzućnie. Wśród dzieł twoich mało tu zostawiłaś dla sierpa i kosy, ale i tój okruszynie zapewniłaś bezpieczeństwo i ochronę. Szczęśliwe te chaty, tak ukryte przed łakomstwem i zazdrością.

Niech strudzony podróżny uskarża się na nagłe zakręty i niebezpieczeństwa dróg waszych, na wasze skały i przepaści, na trudność i na okropność z nich schodzenia, na niedostępne góry i strumienie staczające z nich ogromne głazy i zawalające niemi drogę. Wieśniacy z pobliskiej wioski cały dzień pracowali nad uprzątnieniem jednego z takich odłamów między St. Michel i Modeną; a kiedy mój woźnica na to miejsce nadjechał, dwie godzin cze-



Pokusa.

kać musieliśmy nim w dalszą drogę puścić się było można. Musieliśmy czekać cierpliwie. Noc była dżdżysta i burzliwa, musiałem zanocować w małej karczemce o pięć mil od stacyi pocztowej odległej.

Jedna tylko była izba oddzielna w owęj karczemie i tę zaraz zająłem dla siebie na pokój sypialny. Kazałem rozpaść ogień i zamówić wieczerzę. Dziękowałem nawet Bogu, że nie gorzej jeszcze było; w tém w półgodziny może po naszym przybyciu, zajechał powóz z damą i jej służącą.

A że jak wiadomo już, jedna tylko była izba dla gości, gospodyni zatem bez względu na nic, do mnie ją wprowadziła, uprzedzwszy ją wprzód że nie ma nikogo więcej prócz jednego Anglika, a w tej izbie są dwa dobre łóżka i trzeci w alkierzu. Sposób, z jakim o tém trzecim łóżku mówiła, nie bardzo je zalecał. — Jednakże, rzekła — są trzy łóżka i tyleż osób, a pan nie wątpię, wszystko jak najlepiej ułożyć potrafi.

Nie znaczyło to przecież abym zupełnie odstąpić miał izbę, w której o tyle uważałem się za właściciela, ztem przyjął w niej podróżną jakby w własnym domu. Poprosiłem nieznajomą, aby spocząć chciała; posadziłem ją w miejscu najdogodniejszym, kazałem dołożyć więcej drzewa na kominek, powiększyć wieczerzę i przynieść nam najlepszego wina.

Nieznajoma zaledwie pięć minut przy ogniu się ogrzała, zaczęła okiem rzucić na łóżka, i im częściej na nie spoglądała, tém więcej zdawała się być zakłopotaną. Uczułem całą przykrość naszego położenia, jej spojrzenia i rzecz sama w sobie, powiększała nasze zakłopotanie.

Już ta sama okoliczność, że nasze łóżka w jednym znajdowały się pokoju, była dostateczną aby nas w przykrém postawić położeniu; ale co więcej, ustawienie ich było fatalne; stały bowiem tak blisko siebie, że zaledwie małe plecione krzesło, między nimi stanąć mogło. Nie koniec na tém: stały w pobliżu kominka, który nieco na pokój z jednej strony zachodził, i w połączeniu z grubą belką, z drugiej strony łożek na poprzek przez całą izbę przeciągniętą, rodzaj alkowy nad nimi tworzył, co dla skromności uczuć naszych wcale nie było przyjaznem. Najwięcej wszakże niepokoiło nas to że oba łóżka były tak wąskie, że ani nawet pomyśleć było można żeby pani razem ze służącą na jednym spać mogła. Wówczas bowiem okoliczność ta, że ja tuż obok spać będę, nie tak by się straszną wydała.

Ów alkierzyk obok położony, nie wielkiej, a może i zadnej nie przyniósł pociechy; był bowiem zimny i wilgotny; szyby potłuczone, okiennica połamana, zimny wiatr przewiewał tak, że wszedłszy z nieznajomą do niego, zacząłem kaszlać. Nie było innej rady, tylko że albo pani zdrowie swoje skromności poświęci i sama pójdzie spać do alkierza, a łóżko obok mnie służącej zostawi, lub też przeciwnie pokojowa w alkierzu spać będzie musiała.

Dama była z Piemontu, mająca około lat trzydziestu; zdrowa i świeża jak róża; pokojowa z Lyonu, była żywa i powabna, dwudziestoletnia. Z każdej przeto strony zachodziły trudności, a ów odłam skały na gościńcu, który się naszego kłopotu stał przyczyną, jakkolwiek był wielki, nieczem był jednak w porównaniu z tém, co nam obecnie zawadzało.

Dano wieczerzę; siedliśmy do stołu. Gdyby nie lepsze wino od tego jakie nam postawiono, chyba ostatnia konieczność mówienia rozwiązałyby nasze języki. Szczęściem podróżna miała kilka butelek wina burgundzkiego w powozie i parę z nich kazała przynieść pokojowej. Po wieczerzy zostawszy sami, czuliśmy się natchnionemi do

stateczną siłą, do mówienia o naszym położeniu. Obracaliśmy rzecz tę na wszystkie strony, roztrząsaliśmy ją pod wszelkimi względami. Nareszcie, po dwugodzinnej naradzie, przystaliśmy na warunki ułożone nakształt traktatu pokoju. Ten nasz układ tyle mieścił w sobie szczerości i dobrej wiary, ile każdy inny układ doszły do potonności mógł zawierać.

Oto są te warunki:

I. Z uwagi, że jegomość jest prawym posiadaczem izby sypialnej, łóżko najbliższe znajdujące się kominka, a tém samym najcieplejsze, ustępuje na użytek pani.

Przyjęto przez panią pod warunkiem, że gdy zasłony łóżka są z materji bawełnianej, dość przezroczystej i za nadto wąskie, by się zupełnie niemi zakryć było można, pokojówka je przeto zeszyć lub spiąć szpilkami jest obowiązana, aby ze strony pana bezpieczną mogły tworzyć zaporę.

II. Pani ze swojej strony domaga się, aby jegomość noc całą w szlafroku przespał.

Nieprzyjęto, a to z powodu, że jegomość szlafroku nie posiada; całą bowiem jego garderobę stanowi jedna para czarnych jedwabnych spodni i sześć koszul.

Wzmianka o czarnych jedwabnych spodniach, zmieniła zupełnie osnowę tego warunku, gdyż spodnie uznano za odpowiednie szlafrokowi, ugodzono się więc z obu stron, ugodę niniejszą zawierających i postanowiono, aby jegomość całą noc w spodniach przespał.

III. Woła jest pani, aby jegomość położywszy się do łóżka, po zagaszeniu świecy i wygaszeniu ognia na kominku, przez całą noc ani słowa nie przemówił.

Przyjęto z tém wszakże zastrzeżeniem, że modlitwa wieczorna za naruszenie ugody uważaną nie będzie.

W całej tej ugodzie o jednej tylko rzeczy przepomniało, to jest w jaki sposób ja i pani rozebrać się i do łóżka położyć mamy. Jeden tylko na to jest sposób, a odgadnienie go pozostawiam czytelnikowi, czyniąc zarazem tę uwagę, że to będzie winą własnej jego wyobraźni, na którą nie po raz pierwszy w moim życiu musiałbym się żalić, gdyby mu najprzystwoitszy i najskromniejszy sposób na myśl nie przyszedł.

Wreszcie położyliśmy się spać; lecz czy to nowość położenia, czyli też inna jaka przyczyna, dość że przez całą noc ani oka zamknąć nie mogłem. Przewracałem się na wszystkie strony i to tak trwało aż do drugiej godziny po północy, to jest do tej chwili kiedy czując się zmęczony i zniecierpliwiony zawołałem: O mój Boże!

— Złamałeś pan naszą umowę, zawołała nagle pani, która również jak i ja spać nie mogła. Przepsraszałem ją po tysiąc razy i zapewniłem, że to tylko było proste wykrzyknienie. Ona zaś uporeczywie uważała to za wyraźne naruszenie umowy, a ja utrzymywałem, że artykuł trzeci wypadek ten przewiduje i zastrzega. Jednakże podróżna żadną miarą ustąpić nie chciała. Spór ten osłabił nieco zaporę; slyszalem bowiem podczas sprzeczki, jak szpilki z zasłony padały na ziemię.

— Na honor pani, rzekłem, to nie ja powymowałem szpilki, i wyciągając rękę jakby dla poświadczenia prawdy słów moich.

Chciałem dodać, że za wszystkie skarby świata nie śmiałbym wykroczyć przeciwko przyzwoitości.

Szła pokojówka, która poslyszala naszą sprzeczkę i z obawy aby do kroków nieprzyjacielskich nie przyszło po cichu wyszła z alkierza i dzięki ciemności w pokoju niepostrzeżona wśliznęła się w wąskie przejście dzielące łóżko jej pani od mego.

Tak że wyciągając rękę, uchwyciłem pokojowę....



3371

3